

MYSŁ NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 4

WARSZAWA, 5 LUTEGO 1927 R.

CENA NUMERU 1 zł.

IDEOLOGJA A IDEAL

DUSZA żydowsko-bizantyjska duma nad „ideologjami“, gdy dusza chrześcijańsko-rzymska dąży do ideału. Ideologia jest oderwaną, abstrakcyjną teorią, ideał — realnym celem.

Ideologie wytwarza kontemplacyjny, spekulatywny umysł, który odsunął się od świata, zamknął oczy na rzeczywistość, szuka absolutnego, dla wszystkich ras, krajów i stref jednakowo zbawiennego marzenia — i wymyśla doktrynę. Ideał wyciągają z codziennej rzeczywistości, z realnych warunków życia umysły czynne, twórcze, kierowane instynktem działania, pracy, realizowania, ażeby powszedniości postawić jako cel: dążenie do wyższej, lepszej, doskonalszej formy życia. Doktryner brzydzi się rzeczywistością, gardzi życiem i jeżeli może, stara się wszystko nie tylko potępić, ale zniszczyć w nadziei, że nowe, doskonałe życie powstanie na gruzach. Idealista zna tylko rzeczywistość i ma radość życia, ale równocześnie stara się usuwać niedomagania, uzupełniać braki, naprawiać błędy powszedniego życia; stawia mu wyższe, idealne, trudne do osiągnięcia, ale mimo to osiągalne cele i to osiągalne dla danego kraju, strefy, dla ludzi rzeczywistych, tych którzy żyją. I w ten sposób stara się pobudzić, uruchomić, wyzyskać dla wyższego celu wszystkie istniejące, widoczne i utajone siły swoich współbraci.

Ideologię można przeprowadzać tylko gwałtem, jak to zrobił Cromwell w Anglii, terroryści we Francji, bolszewicy w Rosji. Gdy nastąpi przesyta krwawej kąpieli, wylania się z tego potopu zbrodni życie realne, tak do doktryny niepodobne, że badacz zdumiony pyta: czy warto było tyle krwi przelewać, tyle pustyni stworzyć, aby osiągnąć tak drobną skuteczną? Ideał zapala dusze, skłania je do pracy, trudu, poświęcenia, ofiary, wytwarza w nich poczucie obowiązku i może być w pełni osiągnięty. Tak poszatkowane Włochy, lub rozbite Niemcy postawiły sobie za ideał w XIX wieku narodowe zjednoczenie i osiągnęły je po kilku ćwierćwieczach w całej pełni. A przecież po upadku Napoleona można było uważać zjednoczenie tych narodów za utopję, tak ideał był trudny, daleki, nieprawdopodobny do osiągnięcia. Jednakże leżał w naturze ludzkiej. Przeprowadzenie purytanizmu, zamieniającego

całą ludzkość w pewnego rodzaju klasztor o surowej regule, taksamo jak komunizmu jest dążeniem doktrynerskim, ideologicznym, ale nie idealnym, bo te doktryny są sprzeczne z naturą człowieka i dlatego urzeczywistnić się nie dadzą nigdy.

Dziś w Europie dwa tylko narody mają ideał konkretny: Niemcy i Włochy. Niemcy dążą do zapanowania nad Europą, i hegemonji orężnej nad światem, Włochy do odnowienia starego imperium rzymskiego i do prymatu nad światem.

Oba te ideały są bardzo dalekie, bardzo trudne, ale nie wydają się niemożliwe. Od IV wieku po Chrystusie aż do końca wieków średnich rasa germańska miała istotną hegemonję w Europie.

Włosi są potomkami dawnych Rzymian, Osków, Samnitów, Etrusków i t. d. Jeżeli ich praojcowie z jednego miasta Romy mogli w ciągu niespełna czterech wieków opanować cały basen Morza Śródziemnego od Atlantyku po Ocean Indyjski, dlaczego nie miałoby wierzyć, że tego, czego dokazało jedno ich miasto Rzym, nie mogłoby dokazać tyle razy od Rzymu większa Italja.

Oba narody przygotowują się też do osiągnięcia tych ideałów w dalekiej przyszłości, etapami. Niemcy po wojnie naprzód zorganizowały i zdyscyplinowały naród, uporządkowały skarb, naprawiają moralność publiczną i wylamują się z pod skutków przegranej wojny. Nie płacą odszkodowań wojennych, chociaż mają pieniądze na pożyczanie obcym państwom i na finansowanie przedsiębiorstw niemieckich zagranicą; upominają się o zwrot kolonij pod niewinną formą mandatów; dążą do odzyskania Pomorza, Śląska, a nawet Wielkopolski; przenikają kapitałami, przedsiębiorstwami, oficerami, administratorami, fachowcami Rosję bolszewicką i przy pomocy duchowieństwa katolickiego, w Stanach Zjednoczonych w dużej mierze niemieckiego, a w Ameryce romańskiej prawie wyłącznie niemieckiego, trzymają rękę na duszach tamtej ludności tak samo, jak przy pomocy bankierów, kupców, uczonych i komiwojażerów trzymają rękę w kieszeniach i tych i innych ludów świata. Żydostwo, socjalizm, komunizm, monarchizm, pacyfizm, propaganda Paneuropy, Stanów

Zjednoczonych Europy i t. d., tak samo jak traktaty handlowe z sąsiadami, przygotowują im rozszerzenie się w Europie i podbój ekonomiczny Czech, Polski, krajów nadbałtyckich i bałkańskich, oraz przyszłą *Mitteleuropę*, jako podstawę dalszych podbojów.

Włosi, postawiwszy sobie tak wysoki ideał, zmierzają do niego również etapami. Zaczęli od własnego kraju, od duszy ludności. Wzbudzili w sobie poczucie godności i dumy narodowej oraz nieprzepatą prężność. Dla przygotowania się do przyszłej, pierwszorzędnej roli, zamienili miłość Italji na kult, fanatyzm, egzaltację. Pod wpływem tej egzaltacji większość Włochów stała się zdolną do ofiar i poświęcenia: wszyscy wykonywają swój obowiązek, pracują, czuwają, przewidują i kalkulują naprzód. Dla potęgi potrzebna jest niezależność ekonomiczna. Trudno o niej marzyć w normalnych warunkach dla kraju przeludnionego, w trzech czwartych nieurodzajnego, pozbawionego najważniejszych surowców, jak węgiel, żelazo i nafta. Ale wiara i zapał tworzą cud. Skoro surowca niema, to pracowitość i poprzestawanie na mniejszych zarobkach uczyni przemysł włoski zdolnym do konkurowania z zagranicą. Olbrzymie inwestycje wodno-elektryczne uwalniają kraj od zależności od węgla zagranicznego. Praca stała się nie hasłem, lecz religią, fanatyzmem, furją. Obudzony entuzjazm i wiara w świetlaną przyszłość dodają skrzydeł. Skuteczność dotychczasowych zarządzeń budzi ufność, zachęca do wytrwania, do wzmoczenia wysiłku i rodzi niezłomną wiarę w rozum kierowników. Doświadczenie kilkuletnie doprowadziło do tego, że współpracownicy zrzekli się doradzania, bo im wystarczy słuchać rozkazów. Hierarchja wytworzyła się podczas pracy i przez pracę. W ten też sposób przez pracę i walkę lat z górą pięciu Mussolini doszedł nietylko do faktycznej, ale do prawnej dyktatury: zwolennicy, przekonawszy się o jego niezawodnej zdatości, sami przez uchwałę zrzekli się współrady.

Do hierarchji przyłączyła się dyscyplina. Przywrócono wszystko, co naród wiąże i z trzody ludzkiej czy z kupy piasku czyni jednolity, żywy organizm. Przywrócono naukę religji w szkołach, przetworzono szkoły na zakłady, które wychowują młodzież na obywateli sumiennych, pełnych poczucia obowiązku i odpowiedzialności, zapalonych do wspólnego ideału, zdolnych do ofiar i poświęcenia dla Italji. Przywrócono prawną świętość rodziny, bo istotna świętość rodziny trwa tam od tysiącleci jako obyczaj domowy. Usunięto i potępiono wszystko, co podkopuje wiarę w Boga, w ojczyznę, w rodzinę, w wielkie przeznaczenia rasy,—co dzieli, a nie łączy. A ponieważ wychowanie jest tylko wtedy skuteczne, kiedy się odbywa w odpowiedniej atmosferze i kiedy otoczenie nie daje zgorszenia, zdyscyplinowano starsze pokolenie tak, że stosowna atmosfera dla wychowania 40 z górą milionów Włochów na Scaevolów, Manliusów, Brutusów, Regulusów, Camillusów, Clelie, Calpurnie, Virginie, Lucretie i t. d. wytwarza się bez najmniejszej przeszkody.

Tak duchowo przygotowuje się plemię italskie do zdobycia kiedyś prymatu nad światem. Politykę bieżącą znają wszyscy i wszyscy mogą notować te drobne posunięcia, które potężniejszej Italji dają coraz większe znaczenie w świecie i zapewniają korzyści na wyspach greckich i w Afryce, oraz w Azji Mniejszej i nad Morzem Czarnem. Mniej znane jest nawiązywanie stosunków polityczno-duchowych z Hiszpanją i z romańską Ameryką, któremu przyświeca myśl zsolidaryzowania, a potem zjednoczenia wszystkich ludów

pochodzenia romańskiego pod przewodnictwem Włoch dla przetrzymania naporu germańskiego i anglosaskiego, tudzież dla stworzenia podstawy, z której można będzie sięgnąć po prymat nad resztą świata.

Można dzisiejszej, pierwiastkowej realizacji, a raczej tworzeniu podstaw do planowego zmierzania ku ideałowi tych narodów zarzucać co się komu podoba. Nie należy jednak zapominać, że wielka wojna nie skończyła się bynajmniej całkowitą klęską Niemiec. Kraj niemiecki nie został dotknięty przez wojnę i pobite Niemcy znalazły się w położeniu o całe niebo korzystniejszym niż zwycięska Francja ze swoimi dzieściami departamentami, zamienionymi w pustynię. Przegrana niemiecka nie dotyka ani dumy narodowej, ani wiary we własne siły, bo nie zwyciężyć przeciw 28 państwom, a między niemi pierwszorzędnym potęgom światowym, jak Anglja, Rosja, Stany Zjednoczone, nie mówiąc o Francji, Włoszech, Japonji i t. d. to dowód niezwykłej siły, rozumu i wytrwałości. Normalnie, przy tym stosunku sił, nie powinien był z Niemiec zostać kamień na kamieniu, a wszyscy mieszkańcy powinni byli albo poledz albo zostać niewolnikami. Skoro tak się nie stało, to każdy Niemiec może być dumny z wyniku wielkiej wojny i zmierzać do nowej z tem zastrzeżeniem, że się ją jeszcze lepiej i przeczorniej przygotowuje.

W tych warunkach Niemcy mogą sobie stawiać bardzo wielkie, bardzo trudne cele na przyszłość, a subiektywne poczucie każdego Niemca może je uważać za trudny, odległy, ale osiągalny dla nich ideał.

Trudno przewidywać, czy odrodzenie prężności włoskiej w formie faszystwu jest ujęciem trwałem, czy przemijającym. Nasi lewicowcy widzą w mussolinizmie tylko niewolę na wzór assyryjskiej, egipskiej lub carskiej i zapowiadają nieuchronną reakcję w postaci rewolucji. Tymczasem dyktatura z nieodstępną niewolą, jeżeli jest rozumna, nie jest dla Włochów obca. Mieli ją za imperatorów, z których tylko bardzo nieliczni byli warjatami, choć państwem rządili nieźle, a z których większość (Augustus, Vespasianus, Titus, Diocletianus, Marcus Aurelius, Hadrianus, Nerva, Traianus, wszyscy Antoninowie i t. d.) zasłużyła sobie na miejsce między mędrkami, geniuszami lub dobroczyńcami ludzkości; mieli ją także po swoich królestwach i księstwach i naogół znosili ją dobrze. Ależ bo ci Medyceusze, Estowie, Sforzowie, dożowie i t. d. byli mądrymi władcami przeważnie. Tylko głupia, samowolna, niesprawiedliwa despocja jest nie do zniesienia. Włosi umieli słuchać mądrych despotów, ale umieli także usuwać głupich.

To jedno. A drugie jeszcze ważniejsze. Niechby się okazało, że dyktatura Mussoliniego jest efemerydą—niechby wszystkie jego ustawy dekretowane, reorganizacje i zarządzenia okazały się błędniemi—niechby i Mussolini i cały faszystwizm został uprzątnięty przez jakiś nowy przewrót: to podniesienie ducha narodowego, to stopienie całego narodu w jednolity organizm, ten pęd do pracy i twórczości, ten wysoki ideał plebienia, ta fanatyczna miłość Italji i jej najwyższych przeznaczeń, to wszystko zostanie na długie wieki dorobkiem dzisiejszego czasu, najwyższem wspólnem dorobkiem narodu.

Przy niezmiernej potędze Anglosasów, którzy pierwszeństwa się nie zrzekają, przy prężności Niemców i Włochów, która musi doprowadzić do współzawodnictwa, jest dla Polski do odegrania rola ważna i wielka, ale tylko dla Polski silnej. Na moc trzeba mocy, na prężność prężności. I to jest punkt wyjścia dla ideału polskiego.

REWIZJA REWIZJI

POD koniec wojny światowej zwrócił się do mnie jeden z mych znajomych ze słowami: „Wy historycy okłamujecie nas“. W tem zdaniu wyraziło się pragnienie rewizji wszystkich naszych tradycyjnych poglądów z chwilą, gdy państwo polskie powstało. Uważano, że historia—pocieszycielka za czasów niewoli — powinna odrzucić precz rolę mistrzyni życia i śmiało wypowiedzieć prawdę. Już pewien odruch przeciw ustalonym poglądom uwidocznił się w owych zbiorowych odczytach o przyczynach upadku Polski w r. 1917 w Krakowie.

Zeszłego roku Roman Dmowski rzucił parę śmiałych myśli o roli naszych powstań, burząc tradycyjny pogląd o ich pożytku i celowości, wykazując ich „straszny bilans“ („Polityka Polska i odbudowanie państwa“ 1925). Stał się z nim z tego powodu Aleksander Świętochowski, pisząc artykuł „W obronie twórców klęsk“ (1 i 2 lipca „Gazety Warszawskiej“).

Zapasy dwóch myślicieli tej miary były tembardziej interesujące, że wyroki o naszych powstaniach wydawali tu pisarze, którzy lubią wypowiadać szczerze, bez ogródek, „bezceremonjalnie“ (jak zaznacza sam Dmowski) to, co im na sercu leży. Do dziś brzmi w naszych uszach słuszny, a surowy wyrok Dmowskiego: „Po każdej klęsce powstańczej następował upadek wiary, upadek ducha, podnosiły głowę żywioły najgorsze, najmniej narodowe. A równocześnie sprawa polska nazewnątrz upadała coraz niżej...“ Do dziś brzmi też w naszych uszach i owo ważne zapytanie Świętochowskiego: „Czy powstańcy gubili Polskę, czy raczej w pewnej mierze ocalili“.

Najciekawszy jest ten moment polemiki, gdy Świętochowski przekonywa Dmowskiego, że on właśnie „jest następcą w prostej linii spiskowców i powstańców“ i spadkobiercą ich haseł, a Dmowski, wódz dzisiejszych patriotów odpowiada, że pytał zawsze tylko o to, „co jest polskie, dobre dla Polski, a nie—czy będzie uważane za polskie, za patriotyczne“ i że dlatego nie raz robił i pisał rzeczy, które wywoływały „patriotyczne oburzenie“.

W gruncie rzeczy niema w tej całej polemice nic tak dalece dziwnego. Nowe pokolenia wymagają nowych haseł. Co dobre było dla Polski wczoraj, szkodliwe może być dzisiaj, boć w Europie konstelacja polityczna wciąż się zmienia. Dzisiejszy patriota wobec coraz wyraźniejszego upadku Rosji (wojna Krymska 1853—56, Kongres berliński 1878, 1904/5 etc.) obróci swą tarczę przeciw—Berlinowi, gdy nasi pradziadowie głównie przejści byli grozą potęgi Katarzyny II, Aleksandra I i Mikołaja I.

Pod wpływem prądów świata zachodniego i u nas od końca XVIII w. rozwijały się i zmieniały kolejno jakby dwa typy nowoczesnego patriotyzmu, stary i nowy, a granica tych typów w przypadaby około połowy XIX wieku. Kiedy niedawno przedstawiłem na łamach „Myśli Narodowej“¹⁾ narodziny owego pierwszego, starego typu w chwili wybuchu rewolucji amerykańskiej, wówczas w niektórych kołach czytelników „Myśli“ dały się słyszeć uwagi, że to nie był typ patrioty dzisiejszego. Bardzo słusznie! Nie był to typ dzisiejszy, ale jednak nowoczesny, boć typ powstańca amerykańskiego, był takim typem, jak np. Lafayette'a czy Łazarza Carnota w czasie rewolucji francuskiej, jak typ Kościuszki i naszych powstańców. Dzisiejszy typ jest inny, bo przystosowany do

mniej już romantycznych czasów Cavoura i Bismarka, jest mniej „rozumny szalem“, bardziej realny, trzeźwy, więcej przejęty „egoizmem narodowym“, mniej liczy na entuzjazm ludów, jak raczej na własną siłę, organizację, dyscyplinę. Jak więc z jednej strony trudno domagać się, aby dzisiejszy patriota polski pisał się na wszystkie hasła swoich ojców np. z czasu sejmu czteroletniego, czy też wiosny ludów z 1848, tak też i dzisiejszy patriota popełniałby anachronizm, gdyby robił zarzut tamtym starym wiarusom, że nie wyznawali dzisiejszych haseł, że byli nazbyt romantyczni, marzycielscy i t. p. Trudno domagać się, aby Mazzini był Mussolinim...

Jeśli się mówi o powstaniach, to zazwyczaj gromy potępienia padają na powstania ostatnie, właściwe „powstania“, a głównie na styczniowe, bo ono już na samej granicy nowej epoki leżące wydawało się największym ze wszystkich anachronizmem. Najmniej gromów padało zwykle na powstanie Kościuszkowskie, gdyż uważano, że ono było w chwili upadku państwa koniecznym zmanifestowaniem protestu przeciw gwałtom rozbioru.

Najdalej w potępieniu wyników powstańczych i to głównie jednak powstania Kościuszkowskiego poszedł w ostatnich czasach profesor Skałkowski. On to przedsięwziął rewizję poglądów na bohatera racławickiego, postanowił — jak mówi — rozwiązać „legendę Kościuszkowską“. Nie myślę też z tego powodu występować tutaj z rekryminacjami przeciw takim zamiarom. My historycy musimy przedewszystkiem dbać o prawdę: „*Ne quid falsi audeat, na quid veri non audeat historia*“ (Cicero, *De orat.* II. 15). Owszem z całym uznaniem witam tę śmiałość w rozbijaniu dotychczasowych poglądów — byle tylko rezultat badań dowiódł, że przedsięwzięcie się powiodło. Otóż zadajmy sobie dziś pytanie, czy Kościuszko, pomimo tych prób krytyki, ostał się w ogólnych rysach w takiej postaci, w jakiej go przechowywała tradycja, czy też padł zupełnie zdruzgotany pod obuchem prawdziwie naukowych argumentów.

Jeżeli chodzi o Kościuszkę, to jego znaczenie trzeba podzielić na dwie sfery działania, wojskową i moralno-społeczną. Ta druga sfera nie jest drugorzędną. Dzieje ludzkości polegają nie na samej szabli. Sama szabla nic nie znaczy bez moralnego zapалу. Wiara krzyżowców, fanatyzm janczarów, zapal husytów, pietyzm żołnierzy Cromwella, hasła wojsk rewolucji francuskiej nie były drobnostką nawet na polu bitwy. Z wojskiem idzie sztandar pewnych programów, wzniosłych czy barbarzyńskich — ale idzie. Jeśli zaś zdaniem Rankego w dziejach walczą ze sobą idee, to nieodzowni są w dziejach wyraziciele tych idei, ludzie sztandarowi, programowi.

Otóż Kościuszko dla pierwszej doby porozbiorowej Polski był głównym bohaterem sztandarowym, bo był pierwszym i najwybitniejszym polskim powstańcem—demokrata.

Spytajmy bowiem, jakiego to programu potrzebowała wogóle Polska upadająca i Polska rozbiorów. Jeśli chodzi o pierwszą połowę XIX w., to nie można dziś zamykać oczu i nie przyznać, że w Europie ideą zdobywającą świat były hasła rewolucji amerykańskiej i francuskiej, hasła konstytucji, parlamentaryzmu, praw człowieka i obywatela, hasła emancypacji społecznej. To, co w XX wieku wydaje się już wyszarzałe, spowzedniałe, to w XIX było podstawowym „credo“, za które padali na barykadach nasi dziadowie i ojcowie.

¹⁾ Nowoczesny patriotyzm, lipiec 1925.

I trzeba przyznać, że te idee podkopywały jednak tę „starą Europę“, te przedewszystkiem trzy mocarstwa, bez których upadku zmartwychwstanie Polski nie byłoby możliwe. Czy więc ci Polacy, co pracowali nad obaleniem „starej Europy“, nie pracowali dla Polski? Tak logicznie by wynikało. A więc pracowały w tym kierunku i sejm czteroletni i Raclawice i uniwersał połaniecki i Kodeks Napoleoński i rok 1830, 1848, 1863. Dotrzymać kroku zachodniej Europie, współdziałać z jej ówczesnymi dążeniami—było dla nas: być albo nie być! Zresztą to nie tylko oryginalny pomysł Polski. I Prusy po klęsce pod Jeną pracują nad wewnętrznym przeobrażeniem za wzorem rewolucji francuskiej; i w Berlinie i Wiedniu za przykładem Zachodu wybuchają rewolucje w r. 1848.

Jeśli tak pojmujemy wiek XIX i dzieje Polski rozbiorowej, to zrozumiemy, że w chwili upadku Polski czołowym człowiekiem niezastąpionym, człowiekiem któregośmy potrzebowali koniecznie — był Kościuszko, apostoł naszego programu *powstańczego i demokratycznego* zarazem. Program powstań polskich, program walk orężnych z przemocą wymagał, aby na czoło wysunął się wódz — nie poseł, nie pisarz, nie generał. Ponadto wymagał, aby świecił przykładem poświęcenia, ofiarności, charakteru. I tu był Kościuszko jedynym. Czyż mógł go zastąpić Kołłątaj czy Ignacy Potocki!? On nie tylko w postaci przekazanej nam przez tradycję, ale w rzeczywistości przetrwał pod tym względem innych towarzyszy broni, był w istocie „Tymoleonem“ — wzorem dla współczesnych i dla przyszłych pokoleń. Dlatego to już w r. 1792 a więc przed insurekcją (jak donosi Descorches, Kwat. histor. XI-r. 1897, 794) był przez żołnierzy ubóstwiany — Kościuszko a nie jego zwierzchnik książę Józef. Przecież wyraźnie wskazał na to swego czasu sam prof. Skałkowski (w r. 1913 w swym „Księciu Józefie Poniatowskim“, str. 143) gdy wytykając księciu Poniatowskiemu jego słabość charakteru okazaną w owym roku 1792 przyznał, że w odróżnieniu od niego Kościuszko „najdoskonalej wyobrażał cnotę obywatelską i te pojęcia nowoczesne, na których musiał oprzeć się naród dobijający się niepodległości“.

I tu jest druga kwestja t. j. program *demokratyczny*. Jakiż inny przewódca wojskowy mógł stać się wówczas wyrazicielem programu demokratycznego, czy może arystokrata książę Józef, czy Dąbrowski, doskonały żołnierz, ale tylko żołnierz? A tymczasem jeśli wraz z całą Europą przez wiek XIX mieliśmy się socjalnie przetwarzać, to potrzebowaliśmy na wstępie tego okresu takiego właśnie wodza-demokraty. Kościuszko wyprzedził swoje otoczenie powstańcze (Jasińskiego czy Zajączka) przez to, że był wprzód „Amerykaninem“ i że ośmielił się pójść dalej niż 3-ci maj tak, że następne powstania nie wiele miały już co dorzucać do jego programu. Jeśli dziś historyk francuskiej rewolucji Mathiez coraz to bardziej podnosi znaczenie Lafayette'a w czasie tego okresu dziejów Francji, to nie trzeba zapominać, że bohater raclawicki był czemś więcej w Polsce, niż Lafayette'm. Przez to samo, że walczył i działał za Atlantykiem, stał się w Polsce apostołem haseł amerykańskich, które naśladowano w Paryżu. Kościuszko nie potrzebował paryskiego pośrednictwa, był tym Prometeuszem, co ogień przeniósł wprost z za Atlantyku do Polski. On był jedyny z wodzów polskich uznany już w roku 1792 jako „*citoyen français*“, obywatel honorowy — rewolucji francuskiej. Stąd gdyby w Polsce brakło Kościuszki, z wielkim trudem przyszłoby komu odegrać jego rolę. Dowodem luka, jaka nastąpiła po Maciejowicach.

Taki pogląd, zgodny na ogół z przekazaniem nam przez tradycję, spotkał się już w r. 1917 z krytyką zasadniczą profesora Skałkowskiego. W „Kwartalniku Historycznym“ (1918, str. 525) potępił on całą ideę *powstańczą* a przeciwstawił jej *legjonową*. Jego zdaniem Polska nie mogła o własnych siłach dać rady państwu rozbiorczym, więc myśl powstańcza była beznadziejna a tylko myśl stworzenia legionów przy wojskach państw walczących z rozbiorcami miała sens. Na tej podstawie profesor Skałkowski depreczując tradycję oświadcza, że sejm czteroletni zgubił Polskę, że 3-ci maj wcale Polski nie odrodził, bo prądy reform socjalnych obudziły się w Polsce już dawniej, że więc tylko niepotrzebnie „*przyspieszył tempo*“²⁾ odrodzenia, a więc niesłusznie zrzucili twórcy majowej ustawy brzemień odpowiedzialności na targowiczian—jednym słowem tak wojna 1792 jak i całe następne powstanie kościuszkowskie były jednym „wielkim nieczesnym szaleństwem“, „beznadziejnym przedsięwzięciem“. „Szaleństwem było podnosić oręż“ przeciw trzem rozbiorcom. Jeśli tak — to insurekcja kościuszkowska, tak jak i wszystkie nasze powstania były beznadziejną, zbrodniczą lekkomyślnością — a w takim razie ich główny bohater Kościuszko, to również lekkomyślny szaleniec — postać wcale nie tak znowu „potrzebna“. Otóż jak widzimy wspomniana wyżej rewizja poglądów na powstania pozostaje w związku z zagadnieniem kościuszkowskim.

I tu w końcu musimy sobie postawić ogólne zagadnienie, czy te powstania były w istocie tak niepotrzebnym szaleństwem, czy też raczej koniecznym zjawiskiem u narodów zdobywających niepodległość? Cóż to bowiem widzimy w Europie w XIX wieku? Oto całe zmartwychwstanie Włoch, ich „*risorgimento*“ i ich zjednoczenie szło przez same klęski. Wszelkie „powstania“ włoskie kończyły się też beznadziejnie i r. 1820/1 i 1830 i 1844 i 1848/9, a jednak nie co innego, jeno przedewszystkiem te klęski, ponoszone

²⁾ Prof. Skałkowski, zarzucając twórcom ustawy majowej zbyt przyspieszenie tempa demokratyzacji, nie omieszka równocześnie wytknąć Kościuszce choćby drobiazgowych odchyłeń od programu demokratycznego. Tak czyni Kościuszce zarzut, że dopuścił się zdrady tych haseł, gdyż on demokraci—podpisując pewien list użył tytułu hrabia — (*Count*). W referacie p. t. „Zagadnienia Kościuszkowskie“ wskazałem, że zarzut ten postawiono bez porównawczego zestawienia, gdyż autor przeoczył wszystko, co o tego rodzaju zwyczaju tytułowania Polaków w Ameryce napisał w swej rozprawie ks. Szopiński. Wszyscy oficerowie Polacy zwali się wówczas hrabiami (*count*) lub baronami, a Kościuszko użył takiego tytułu tylko raz, gdy pisał do amerykańskiego majora Haskell'a, który wówczas przebywał w Paryżu. Napomykał w tym piśmie, a niejako prosił o wstawienie się do władz amerykańskich (do kongresu), aby mu zwrócono zaległą jego pensję, z czasów jego służby w wojsku amerykańskim. W odróżnieniu od wszystkich szumnie tytułujących się Polaków użył tu jedyny raz w życiu słowa „*count*“ niezawodnie dlatego, aby dowieść, że mu się należy taka pensja, jako oficerowi, a to wedle ówczesnych (r. 1780) poglądów europejskich t. j. na podstawie edyktu wydanego we Francji w r. 1781, w którym zastrzeżono, że za oficera można uznać tylko tego szlachcica, który się aż czterema stopniami szlachectwa wykaże. W liście tym chodziło więc raczej o dowód prawniczej czy finansowej natury, niż o arystokratyczne puszenie się tytułem „*count*“. Kościuszko pozatem mógł użyć w tym liście owego słowa „*count*“, aby odeprzeć zarzut pewnego oficera — Anglika, który w swej książce o wojnie amerykańskiej wytknął w r. 1785, że Amerykanie niesłusznie Kościuszkę, cudzoziemskiego awanturnika, „*a foreign adventurer*“ (t. j. plebejusza nie mającego nic wspólnego z rangą oficera) — zrobili hrabią polskim. Rozwodzi się o tem tak obszernie, gdyż prof. Skałkowski z powodu tego słówka wytoczył Kościuszce sprawę, jakby o jakąś straszną zbrodnię, mówi o tym tytule w swej książeczce czterokrotnie, a raz wyraźnie pisze, że ten tytuł hrabiowski ukazuje „z całą dosadnością na niezupełność przeobrażenia“ demokratycznego u Kościuszki.

przez szalonych braci Bandierów, Mazzinich, Garibaldich krzyczały wobec całej Europy, że „kwestja włoska“ istnieje.

Tak samo bez krwi powstańczej nie byłoby „narodu“ Stanów Zjednoczonych Ameryki, lecz tylko istniałaby druga Kanada. Powoływanie się na przykład, że Czesi doszli dzisiaj do niepodległości i państwa niezależnego bez powstań jest błędem, bo Czesi jako naród mały nie mogli robić powstań często, ale zato jak robili, to takie, jak wojny husyckie albo jak r. 1618, który się zakończył Białą Górą i—zupełnie obezwładnił ich na całe wieki. I tem się też Czesi różnią od Obotrytów, którzy nie robili w końcu już nigdy powstań i zostali też dla tego tylko Meklemburczykami... Naród wielki, który dba o swoją oryginalną fizjonomję duchową musi mieć i swoją szaloną Joannę d'Arc, swoich szalonych powstańców, swoje *Tugendbundy* i hiszpańskich Gierylasów. Musi swoich szaleńców mieć i Irlandja. Jakże szalenie beznadziejnym było powstanie Bułgarów w r. 1876, które skończyło się wyrżnięciem tysięcy Bułgarów przez Turków, a jednak ono dowiodło Gladstonowi, że istnieje naród bułgarski i sprawiło, że w końcu zaczęło się tworzyć państwo bułgarskie. Krew wylana w obronie ideału jest czasem dziwnie twórczym sokiem!

Szalona odwaga chrześcijan dowiodła światu, że chrześcijaństwo istnieje: „*Sanguis martyrorum semen christianorum*“.

Tak samo i Polska, chcąc utrzymać swego ducha niepodległości, musiała zdobyć się na grupę, która mimo beznadziejnej i rozpaczliwej sytuacji zrywała się i poświęcała krew, wołając: „*contra spem spero*“.

Bo też klęska militarna nie zawsze jest jednoznaczna z ostateczną klęską polityczną czy moralną. Wedle legendy (i tu niechże raz sobie pozwolę na legendę) na poboju nad trupami mają walczyć z sobą jeszcze długi czas duchy i tu może być wynik jeszcze na długo odroczoney. Dziś we Włoszech triumfatorkami są w zasadzie idee, wypielegnowane przez „*risorgimento*“, choć swego czasu złamane i stłumione przez Austrię. W wolnej dziś Irlandji królują rzekomo „beznadziejne“ hasła powstańców, a w Polsce zrobiły swoje też i idee Kościuszkowskie, bo jeśli pierwsza Ameryka w czasie wojny światowej wystąpiła z żądaniem odbudowania Polski, to przyczynił się do tego także Kościuszko i jego „szalony“ udział w rewolucji amerykańskiej i jego „szalona“ insurekcja i wedle tego s u k c e s u trzeba też uznać i oceniać ogromną wartość tego kapitału moralnego, jaki On nam zostawił.

WACŁAW SOBIESKI

BEZDROŻA SAMOTNEGO CZŁOWIEKA

W POLSCE proces deformacji cywilizacji chrześcijańskiej był nieco inny, niż na Zachodzie. Przedewszystkiem humanizm i Odrodzenie słabem się echem u nas odbiły. Reformacja była spowodowana raczej względami natury społecznej, niż religijnej i nie wywołała skutków stałych. Pod względem politycznym organizm państwowy polski nie wyszedł z ram średniowiecznych, konserwując, niestety, wszystkie przywary średniowiecza. Oświecenie wywarło na polską umysłowość wpływ nieco głębszy, ale dopiero romantyzm wyprowadził Polskę na te same drogi i bezdroża, po których kroczyła wówczas Europa.

Romantyzm był w Polsce szczególnie niebezpieczny. Indywidualistyczne jego tendencje odpowiadały naszym skłonnościom anarchizmem, uczuciowość dogadzała naszemu jednostronnemu kultowi uczucia (niejeden Polak hasło Mickiewicza: „Miej serce i patrzaj w serce“ tłumaczył sobie: Nie miej rozumu i nie zważaj na rozum!), a romantyczna awersja do rzeczywistości spłotła się w jedno z sączącym się w nasze dusze jadem niewoli, wywołującym bierność i apolityczność, albo też bezpłodną tęsknotę marzycielską, albo wreszcie awanturnicze zawadactwo.

Największą przeto zasługą literatury naszej pozostanie, iż w swoim głównym zrębie w ciężkiej walce oparła się tym pokusom i stała się raczej środkiem podźwignięcia narodu z upadku.

Cała twórczość Mickiewicza od chwili poznania się z Oleszkiewiczem (1828 r.), to ciągła walka z romantyzmem i jego konsekwencjami w imię wysokiego i wyzwającego ideału Chrystusowego. Końcowy fragment „Petersburga“ ujmuje w skrócie cały problem. Projekt dramatu o Prometeuszu, wyzwolonym przez Chrystusa, go powtarza. „Dziady“ są i pozostaną najwspanialszym pomnikiem tych romantycznych bojów. Słowa „Ja i ojczyzna — to jedno“, są szczytem egocentryzmu, poeta nie podporządkowuje bowiem jednostki ojczyźnie, lecz całkiem przeciwnie: ojczyznę jednostce. Zaprzecza także rodakom wolnej woli, ludzie są dlań

takim samem materiałem, jak myśli i słowa, to też, o ile mu się sprzeciwią, „niechaj cierpią i przepadną“.

Despotyzm ten względem ludzi łączy się u Konrada z bluźnierczą walką z Bogiem, któremu Konrad zaprzecza atrybutów wszechmocy i miłości, oraz skłonny jest zidentyfikować Stwórcę z pierwiastkiem Zła na świecie. Nad przepaścią się jednak zatrzymuje.

Ale romantyzm Mickiewicza nie ginie, staje się jeno kryptoromantyzmem. Oto na tle oderwania od kraju, wśród przymusowej bezczynności, wytwarza się na emigracji zwrot, zwany mesjanizmem, który jednak słuszniej zważyby trzeba patriotyzmem indywidualistycznym, aspołecznym. Polega on na zawodnym i jednostronnem analogizowaniu społeczności do organizmu, na pochopnem przenoszeniu praw, rządzących jednostką, na społeczeństwo. Mickiewicz funduje tę koncepcję mesjanizmu na uczuciu, do karykatury zaś doprowadza ją Krasiński, posługując się dialektyką. Szczególnie jednak rozwinął się mesjanizm w Towianizmie, będącym spóźnioną próbą prymitywizmu chrześcijańskiego. Było to zubożanie i cofanie katolicyzmu do form przeżytych, pra-chrześcijańskich i pra-słowiańskich. To miał zapewne na myśli Norwid, gdy mówił, iż emigracja „Boga mija, wraca w Boha“. Myśl Norwida zrozumiemy, gdy zważymy niewątpliwe wpływy białoruskie w Mickiewiczu i Towiańskim, zaś ukraińskie w Goszczyńskim, Słowackim i Różyckim. Tem się też tłumaczy t. zw. „duch rosyjski“ w Kole. Ciekawe i zdumiewające są analogie pomiędzy Towianizmem a nauką Tołstoja.

Śród ustawicznej walki i nierównowagi w życiu Mickiewicza, jedyny moment Łaski i słonecznej pełni twórczości—to „Pan Tadeusz“. Jest on szkołą patriotyzmu w dzisiejszem i stałem tego słowa znaczeniu.

Romantyzm Słowackiego może być nazwany biernym, w przeciwieństwie do czynnego romantyzmu Mickiewicza. W ostatnim okresie swego życia zwalcza on ulubione symbole romantycznego buntu, Lucyfera i Prometeusza. W „Samuelu“ stwierdza on niższość Lucyfera wobec Djany, „razem potężnej i świętej“, opro-

(Dokończenie)

mienionej Łaską Bożą. Intelktualne skłonności Słowackiego nie pozwoliły mu jednak bezwzględnie potępić Lucyfera, którego tragedję niezaspokojonej ambicji rozumie poeta doskonale:

„Dopókiż będzie to żądanie we mnie,
Ażeby ten świat nic nie mógł bezemnie?”

W tych słowach charakteryzuje Słowacki istotne podłoże wszelkiego romantyzmu.

W „Królu Duchu“ w I rapsodzie widzimy bankructwo azjatyckiego, prometejskiego „ja“, „które żadnego wyższego prawa ponad swoje osobiste bezprawie uznać nie chce i nie sięga nigdy wzrokiem ponad ciasny widnokrąg arbitralnej swej jaźni“, zaś triumf chrześcijańskiego „Nie-Ja“ (Norwid). W rapsodzie III-im tak samo maluje Słowacki klęskę Pychy—Prometeanki, w której symbolizuje tendencje prometejskie Towianizmu, a w dalszej projekcji „ducha rosyjskiego“ w Kole i Rosję wogóle (próby uzasadnienia tego podałem w № 2—4 „Tygodnika Wileńskiego“, 1925 r.).

W rapsodzie IV-ym wreszcie znajdujemy przykład nowoczesnej ideologii chrześcijańskiej, która pragnienie indywidualnego zbawienia ściśle łączy ze sprawą zbawienia społecznego, w przeciwieństwie do wyłącznie indywidualistycznej koncepcji średniowiecznej:

„A tę ofiarę chcę mieć postokrotną,
Nie tylko za się, ale i dla ludzi,
Abym tę otchłań niebios nie samotną
Miał, ale z braćmi, których Bóg obudzi.”

VII. Najpełniejszym jednak i najdokładniejszym wyrazem już nie walki z romantyzmem, ale jego przekroczenia i przewyciężenia jest twórczość Norwida. Daje on nam długi szereg oświeleń naszych spraw narodowych i ogólnoludzkich z punktu widzenia katolicyzmu i własnej filozofii pracy. W „Niewoli“ (1848) stwierdza bankructwo dotychczasowej literatury romantycznej, którą uważa za produkt niewoli, oraz śledzi wpływy niewoli w całokształcie życia narodowego. Stwierdza, iż „wielkie indywidualne strzelistości znarowiły smak nasz, i jesteśmy, jako z więzienia wychodzący, z więzienia latami marzeń złocistego, z więzienia, gdzie już brylantowe opony pajęczyn rosą szklanych i pajaków samych gwiazdy pokochawszy, krokiem bardzo powolnym na powierzchnię się przyjdzie wyczołgiwać, przez coraz to bliższe istności, przez coraz rzeczywistsze określenia. Prace takie... nie mogą być indywidualnego rzeczą pióra“.

W „Promethidionie“ daje Norwid zarys swej filozofii pracy, która jest warunkiem „socjalnego“ zbawienia. Koniecznym jej jednak uzupełnieniem, „sztańdarem na prac ludzkich wieży“, czyni sztukę, i ostrzega, iż niedźwignięcie jej kopie przepaść pomiędzy inteligencją, a ludem, postaciującym jeno swe myśli, pomiędzy przeszłością a przyszłością narodu.

W „Quidam“ i w „Stygmacie“ wypowiada Norwid walkę indywidualizmowi, umieszczającemu jednostkę w pustce, poza społeczeństwem i wykazuje ścisły związek pomiędzy losem każdej jednostki i podłożem, z którego jednostka ta wyrosła, przedziwnie tragiczną „symetrię przypadków“, co się splatają w fatalne łańcuchy zdarzeń, których nieodwołalnej konsekwencji uniknąć niepodobna. Na każdym z nas ciąży niejako znaki przeszłych pokoleń, „Stygmaty“, oraz kapitał naszych własnych czynów, skłonności i usposobień, niemal determinujących losy nasze. Wolna wola jest dopiero postulatem, niezmiernie mało dotąd skutecznym i rzadko używanym. Podobnież narody, społeczeństwa i pokolenia pozostają pod rozmaitemi stygmatami, które przejmują wraz z dziedzictwem krwi.

W „Garstce piasku“ oraz w „A Dorio ad Phrygium“ mówi poeta o konieczności ciągłości w historii i kulturze narodowej, gdyż „ten, co się od sumienia historii oderwie, dziczeje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę się zamienia“. Utwory te łączą się z patryjotyczną satyrą Norwida, nazywającego swój naród „narodem, między Sfinksem a Muncją wychowanym“. („Kleopatra“).

Wreszcie w najważniejszym swym utworze, „O wolności słowa“, daje nam poeta zarys swej filozofii. Jest nią tradycjonalizm czy też medjewalizm. „Słowo“, czyli Objawienie, jest jedyną zasadą kultury. Odsuwanie się od niego, cofa ludzkość w rozwoju:

„Ludzkość bez Boskości sama siebie zdradza;
Aż dopiero, gdy w eter opłynie niebieski,
Powraca jej majestat i szkarłat królewski”.

To też autor broni średniowiecza:

„Bawi mię, gdy dziennikarz albo publicysta
Klnie średniowieczną „ciemność“, z której wciąż korzysta.
Ta ciemnota musiała nieźle być użyta,
Gdy się jak świeca topi, a przy niej się czyta.
Ciemnota!, która mimo niezgrabne praktyki,
Stworzyła arcy-dzieła, stworzyła — ję z y k i !”

I dalej wyśpiewuje poeta wspaniały hymn na cześć mowy narodowej, tej skarbnicy zbiorowego doświadczenia, dziedziczonego przez wieki, oraz na cześć nie-spożytego funduszu pracy szeregu pokoleń, która jest cenniejszą wartością, niż natchnienie „Ksiąg Pielgrzymstwa“ (pod tem mianem autor ma na myśli całą naszą poezję romantyczną).

W czasach wreszcie ostatnich przeciw romantyzmowi występuje w literaturze Wyspiański w „Kazimierzu Wielkim“, „Warszawiance“, „Weselu“, „Wyzwoleniu“. W „Weselu“ odtwarza znowu antynomję romantyczną, konflikt pomiędzy rzeczywistością i marzeniem, symbolizując je w „Chochole“ i „Złotym Rogu“. Odwraca jednak stały szablon romantyczny, czyniąc właśnie Chachoła-rzeczywistość symbolem dodatnim, zaś Złoty Róg-marzenie — symbolem ujemnym.

Podnieść wreszcie należy gorący i zdecydowany katolicyzm Wyspiańskiego („Kłątwa“, „Skalka“, „Akropolis“).

VIII. Przed Europą jedno jest tylko wyjście: wrócić do punktu, skąd się rozpoczęła jej dekadencja, nazwana szumnie wysamodzielnieniem się człowieka, wydobyciem się jego z powijaków, w których go trzymał Kościół. Na Europie sprawdza się doskonale przypowieść Chrystusa o synu marnotrawnym. Zastosował ją do swej współczesności Mickiewicz, który pierwszy w naszej literaturze dał zarys rozumowania, podobny do tego, który tu powtarzam. Europa, wzbogacona bolesnym doświadczeniem czterech wieków, powinna się odrodzić pod znakiem katolicyzmu, *restaurare omnia in Christo*, oczywiście rozwijając nadal to wszystko, co się twórczego ostoi z ruiny kultury ostatnich czterech wieków, i być jeszcze może, iż czasy te, które dziś przeżywamy, nasze dzieci zwać nawet będą *felix culpa*.

Katolicyzm nie jest dziś zebrakiem. Minęły niepowrotnie te czasy, gdy Quinet mógł mówić: „*En Europe est une religion morte: c'est Catholicisme*“. Bogatszy jest dziś katolicyzm, niż kiedy. Przewodzący umysły we Francji, Włoszech, Anglii, Niemczech, — to czynni, praktykujący, walczący katolicy. Zwłaszcza to się rzuca w oczy we Francji, gdzie np. szczyty literatury są prawie wyłącznie katolickie. (Patrz dobre studjum Zygmunta Czernego w roczn. II, t. I „Nowego Przegl. liter. i sztuki“ p. t. „Rozwój liter. franc. po r. 1900“).

Niestety, o współczesnej Polsce tego się nie da powiedzieć. Uświadomienie katolickie jest wśród naszej inteligencji bardzo słabe. Pod tym względem nie jest ona warstwą przodującą. Całkiem przeciwnie. Religijność ludu jest wciąż dla niej ideałem niedościgłym.

Zakończę te rozważania słowami Brzozowskiego („Krokwie“, 1920):

„Kościół jest tem, czem uczyniliśmy go od czterech wieków... Niema w nim nauki, sztuki, filozofji, rozumienia życia społecznego, bośmy wyrzucili to wszystko z Kościoła.

ŻEROMSKI — NAUCZYCIEL

NIKT, kto czytał Żeromskiego, nie zaprzeczy, że autor „Ludzi bezdomnych“ pojmował swoją misję pisarską jako misję przede wszystkim nauczycielską. Prawdziwość tej obserwacji potwierdzają słowa samego Ż-go, który w „Początku świata pracy“ takie wypowiada zdanie:

„Rysowałem wielokrotnie fikcyjne postacie takich patrijotów i owo zrzeczenie się dóbr na rzecz ludu propagowałem przez całe życie, — psując do gruntu jaką taką wartość artystyczną swych pisanin“.

A i bez tego wyznania nauczycielskie tendencje Żeromskiego byłyby oczywiste. Przypomnijmy sobie jego powieści społeczne (stanowiące *gros* twórczości autora „Przedwiośnia“), w których dobrą połowę książki wypełniają zazwyczaj rozważania socjalne, moralne, religijne, — przypomnijmy sobie jego liczne rozprawy, niekiedy obszernie, w których Żeromski występuje z projektami nowych urządzeń, bądź reformy wewnętrznej, moralnej. Poucza zawsze, poucza z zapalem, poucza wszystkich.

Celem niniejszego artykułu jest zbadanie wartości tego nauczania, ideologicznej i wychowawczej. Dla krytyka, podejmującego to zadanie, okoliczności składają się pomyślnie, w spuściźnie bowiem pisarskiej Ż-go znajdujemy pracę, syntetyzującą wysiłki nauczycielskie autora, streszczającą jego poglądy socjalne i moralne, pracę, dającą wyraz dojrzałej myśli pisarza, bo pochodzącą z ostatnich lat jego życia. Mam na myśli „Początek świata pracy“, na której to rozprawie przede wszystkim oprzeć się zamierzam.

Na str. 10 — 11 wspomnianej rozprawy znajdujemy następujące zdanie:

„Zasady jego (syndykalizmu) ujawniły się przede wszystkim w genialnej książce George'a Sorela p. t. „*Reflexions sur la violence*“... Dalej: „Ta najbardziej nowoczesna, najsakrajniejsza i najprostsza metoda organizowania życia publicznego, która znalazła olbrzymi posłuch wśród proletariatu Francji, Anglii, Włoch, Hiszpanji, a oddziałała bardzo wydatnie na tak zwanych socjalistów niezależnych w Niemczech, domaga się choć pobieżnego tutaj potrącenia i wykładu. Polega ona głównie na wytworzeniu autonomicznego, niezależnego życia różnorodnych związków zawodowych, czysto robotniczych, które winny powołać do życia główny instytut pracy“.

W dalszym ciągu Ż-ki rozpoczyna zapowiedziany wykład zasad syndykalizmu. Do wykładu tego wkrótce powrócę. Tymczasem postaram się w najgrubszych zarysach przypomnieć podstawowe myśli książki Sorela, którą Ż-ki jako genialną kwalifikuje, a której przewodnie idee mają być teoretyczną osnową samego „Świata pracy“.

Dwa są ogniska myśli sorelowskiej: jedno pozytywne, drugie negatywne. Pozytywne — to idea autorytetu pracy. Z tej idei wykwiła system organizacji pracy na podstawie li-tylko wewnętrznych właściwości procesu produkcji, w zupełnej niezależności od wszystkiego, co nie jest motywem twórczym i dobrem wykonywanego dzieła w szczególności od wszelkiej spekulacji finansowej.

Stąd wywód, że przez odbudowanie duszy własnej dla Kościoła, przez szczery powrót do jego prawdy, idzie droga do odrodzenia społecznego, że specjalnie w Polsce chodzi o to, by wiarę uczynić wszechobecną i czynną, by odzyskać nasze dziejowe stanowisko przez nawrót do wielkiej tradycji historycznej, która polega na utożsamieniu sprawy katolicyzmu i kultury zachodniej na wschodzie z naszym narodem istnieniem“.

STANISŁAW CYWIŃSKI

Ta idea siłą swego ciężenia rozpala drugie, negatywne ognisko: ideę walki z kapitalizmem i socjalizmem parlamentarnym. Z kapitalizmem, bo podporządkowując swoim interesom pracę, kazi jej czystość, wprowadza do jej procesów wewnętrznych element obcy, hamujący, lub osłabiający te procesy. Z socjalizmem parlamentarnym, bo w działaniach swych zdąża nie do zdobycia niepodległości pracy, lecz raczej do udostępnienia robotnikom tych dóbr, któremi dzisiaj kapitał rozporządza, stając się w ten sposób tego kapitału konkurentem raczej niż wrogiem, bo hasło rewolucji socjalnej schodzi w jego rękach do roli straszaka, zdolnego wymusić na kapitale ustępstwa na rzecz klasy robotniczej, bo wreszcie ujawnia swą obcość wobec immanentnych zagadnień pracy, powołując na przywódców ruchu socjalistycznego nie pracowników-twórców, lecz deklamatorów i politycznychmacherów¹⁾. Psychologicznie rzecz biorąc, tkwi cały Sorel w tych dwóch ideach. Wszystką treść jego pism można by z nich wyprowadzić.

A teraz powróćmy do Żeromskiego. Oto jakimi słowami rozpoczyna on swój wykład zasad syndykalizmu.

„Gdy dziecko przyjdzie na świat w robotniczym stadle, nim czas naturalny upłynie, musi położnica wstawać do roboty. Noworodka wykarmia smoczek z rozcieńczonym mlekiem, mniej lub więcej fałszowanym. Kto fałszuje to mleko i inne płyny odżywcze? Robotnik. W czyim interesie to czyni? Czy w swoim? Nie. W interesie jakiegoś właściciela, przekupnia, dorobkiewicza. Skoro dziecko podrośnie i zamiast flaszki z mlekiem smoczek cukierek, zabarwiony na czerwono, niebiesko, zielono, pomarańczowo, wysysa wraz z sacharyną rozmaite chemikalja. Któż sfabrykował tę ohydłą truciznę? Robotnik dla zysku jakiegoś dorobkiewicza, przemysłowca, złodzieja“ i t. d.

Następne stronicie, 12 i 13, nic już zasadniczo nowego do tych myśli nie dodają. Dopiero na str. 14 znajdujemy projekt wyjścia z żalosnej sytuacji, zobrażowanej na stronicach poprzednich. Oto jak brzmi to rozwiązanie:

„Lecz jeżeli w każdym fachu pracownicy zwiążą się w zawodowy syndykat a związek syndykatów utworzy organizację główną, rodzaj giełdy pracy, która zabezpieczać będzie w stanie pozbawić pracodawców siły roboczej za pomocą strajku, wówczas układniejszym i cnotliwszym stanie się pracodawca“.

W dalszym ciągu (str. 15) rysuje Ż-ki obraz życia przyszłego społeczeństwa, zorganizowanego na zasadach syndykalizmu — obraz pełen akcentów entuzjazmu i wiary w wysoką wartość moralną tego systemu.

Gdyby książka Ż-go była tylko aktem apostołatu moralnego, nawoływaniem ku dobru, gromieniem zła,

¹⁾ Znana jest pogarda Sorela dla zabitego w pierwszych dniach wojny meniera francuskiego socjalizmu, Jana Jaurès'a. Pisarze t. zw. reakcyjni nie wypowiedzieli chyba tylu szyderstw, tylu lekceważących złośliwości pod adresem wszystkich wielkości i małości socjalistycznych, co jeden Sorel pod adresem najpopularniejszego przedstawiciela francuskiego socjalizmu.

nieuczciwości i chciwości ludzkiej — możnaby powiedzieć, że spełniła szczytną rolę popularnej książki propagandowej i na tej ocenie poprzestać. Ale książka ta poza tendencją moralizatorską ma, i to przede wszystkim, szerokie uroszczenia socjologiczne, autor widzi w niej zarys systemu socjalnego, należycie uzasadnionego rozumowo i doświadczalnie. A więc socjologia, przytem poczuwająca się do pokrewieństwa z Sorelem. Rozejrzyjmy się w tej sprawie.

Biorąc rzecz ze strony formalnie-słownej, bliskość obu koncepcyj: Sorela i Ż-go — jest niewątpliwa. Tu i tam mówi się o niezależności pracy od kapitału, o jej autonomicznej organizacji. Syndykaty, zrzeszenia na podstawie interesów wytwórczości, wolne od jakiegokolwiek nacisku zewnątrz — oto schemat który zarówno do pomysłów Ż-go jak i Sorela zastosować można. Ale obaj pisarze podchodzą do zagadnienia ze stron przeciwnych, przyczem przeciwieństwo nie jest formalne, zewnętrzne, lecz zasadnicze.

Punktem wyjścia dla Sorela jest kult pracy — dla Ż-go jak to widać choćby z dwóch krótkich cytata tu przytoczonych — litość nad cierpiącym człowiekiem, która pcha autora „Ludzi bezdomnych“ na poszukiwanie ratunku. Wszystkie krytyczne, czy pozytywne pomysły Sorela z jednego płyną zawsze źródła, którym jest interes pracy, myśl o jej absolutnym rozkwicie i panowaniu. Chodzi zawsze o to, aby pełnia pracy triumfowała. Przy tej zaś okazji może rozkwitnąć dobrobyt i szczęście — kwestja to podrzędna, gdyby zaś ktokolwiek wysunął ją jako czołową — należałoby w myśl takiego hasła prowadzoną akcję najbezwzględniej zwalczać.

U Ż-go, odwrotnie: szczęścia ma zaznać człowiek — oto sprawa zasadnicza, zaś na tle tego szczęścia, które wyobraźnia rysuje autorowi w postaci syndykalistycznie zorganizowanego społeczeństwa — rozwinąć się powinna jakaś słodka idylla pracy, która to szczęście pogłębi i utrwali. Dla Sorela jest syndykat warsztatem pracy twórczej przede wszystkim, — dla Ż-go raczej narzędziem, służącym do poskromienia pracodawcy-wyzyskiwacza. Ktoś, kto odpowiedziałby na to, że sprzeczność jest tu „tylko“ psychologiczna, zaś zbieżność tkwi w programie — a przecież taka argumentacja nie jest u nas rzadkością — dałby tylko dowód, że obcy jest mu świat myślowy obu pisarzy i że w analizach swoich nie wychodzi poza najprymitywniejsze zestawienia słów. Sorela kult pracy — to nie „nastrój“ literacki, ani żaden pasorzytujący twór sentymentu na ciele konkretnej myśli, konkretnego programu. Kult ten jest tu dyktatorem i prawodawcą. Każde rozwiązanie zagadnienia socjalnego, prawnego, gospodarczego, każde rzucone hasło, każde posunięcie taktyczne jest w systemie Sorela emanacją owego skupionego w sobie kultu pracy, jest jego postacią słowną dostosowaną do danej konkretnej sytuacji lub zagadnienia. Zrozumienie sorelizmu z pominięciem tego heroicznego elementu walki — pracy, żadnej zwycięstwa, a nie wywczasów — jest tak samo niemożliwe jak niemożliwe byłoby zrozumienie twórczości Beethovena poza sferą dźwięku muzycznego.

Demaskując to zasadnicze nieporozumienie między Ż-im a Sorelem którego za mistrza sobie nasz pisarz wybrał, — nie powoduję się ambicjami pedanta-szperacza, który czepia się słabych stron niepospolitego bądź co bądź dzieła, w mniemaniu, że ich wykazanie może obrócić w niwecz to, co wytworzył olbrzymi niezapreczenie talent. Myślę jednak, że zwrócenie uwagi na tę niezwykłą nonszalancję, z którą autor „Przedwiośnia“ szafował cudzemi myślami dla celów sprzecznych nieraz z ich duchem, nie jest bez znacze-

nia dla charakterystyki Ż-go jako nauczyciela i ideologa. Wiem dobrze, że otwieram tu pole do deklamacji profesjonalom „głębokości“, którzy mogą zatrąbić w nutę: „genjusz jest ponad prawami — wolno mu czerpać ze skarbcza wszechrzeczy, gdy chce ucieleścić wizję, co się (zapewne przez jakieś „wyżycie“ lub „wżycie“ — zwyczajnego sobie „przeżycia“ nikt się już dziś nie przestraszy) wzrokowi jego wnętrznemu jawi...“ — no, ale na to niema rady. Istotne jest to, iż Ż-i w książce, będącej, wedle własnych słów jego „wyciągiem ideowym z pism życia“, mówiąc o pisarzu, którego nazywa „genjalnym“ (w ten sam sposób określa Ż-i Sorela w „Projekcie Akademii Literatury“, wydaniu z r. 1925, przejrzanem przez autora — wysoko zatem opinja o francuskim pisarzu nie była lekko-myślnie rzuconym frazesem) — traktuje myśl jego jako rezonator dla własnego sentymentu. Na przykładzie tym poprzestane narazie. Dalszy ciąg niejednej jeszcze dostarczy ilustracji. Tymczasem zamykam dotychczasowe rozważania w następującej definicji:

Pouczenia ideologiczne Żeromskiego są zbiorem myśli, powiązanych na podstawie ich podatności emocjonalnej jako czynników podtrzymania w sobie i czytelniku wysokiego napięcia pewnych uczuć, szczególnie uczucia litości dla nieszczęśliwych i przeświadczenia, że się na ich nieszczęścia znalazło ratunek. Żeromski nie tyle rozwiązuje problemy, ile toruje ujście energii emocjonalnej, gromadzącej się dookoła problemów.

Nie mogę tu nie zaznaczyć, że w innym, aforystycznym, jak zwykle u autora „Legendy młodej Polski“ sformułowaniu, pogląd wyżej streszczony wyrażony został przez Stanisława Brzozowskiego w jego „Pamiętniku“ (str. 123). Brzozowski pisze: „Myśli są u Żeromskiego tylko po to, by budzić echa. Nie służą do poznania, ale wywołują wzruszeniowe następstwa“. Ż-ki ze swej strony dostarczył niezbitych dowodów na potwierdzenie słuszności tej obserwacji w swym „Projekcie Akademii Literatury“. Mianowicie uskarża się tam (str. 46 — 47) na wybujałe uroszczenia krytyki, która usiłuje narzucić pisarzom swoje poglądy i nadać kierunek ich twórczości. Zarzut ten, teoretycznie słuszny, ilustruje Ż-ki na przykładzie Brzozowskiego. Następujące słowa autora „Legendy“, wyjęte z jego „Pamiętnika“ (str. 40) mają tu służyć za dowód:

„Dlaczego nie mogę pracować jakbym mógł, bo mógłbym. Zmieniłbym charakter polskiej literatury na całe pokolenia i byłbym szczęśliwy, ale muszę żyć w ciągłym braku książek i dręczyć się wyrzutami sumienia, gdy się kształcę zamiast pisać“. „Widzimy więc, jakie to szczytne ambicje rozsadzają łona krytyków“ — konkluduje Ż-i. Nieco zaś dalej pisze. „Najrozmaitsze temperamenty wielorakie, ukształtowania natur twórczych, pasje nowości i rzuty niespodziewanych upodobań zależałyby od ustawy, wygotowanej przez majstra jednego na pokolenia“.

Słowem cytowany ustęp z „Pamiętnika“ interpretuje Ż-ki w tym sensie, że B-mu chodziło o arbitralne narzucenie się pisarzom, o poddanie ich twórczości jakiejś bezsensownej w swym ślepym despotyzmie dyscyplinie, czego rezultatem byłoby zatruenie naturalnych źródeł natchnienia artystycznego.

Cokolwiekby się myślało o Brzozowskim, niepodobna w tym sporze nie przyznać mu racji. Nie trzeba sięgać daleko, aby dojrzeć powierzchowność wniosku Ż-go, aby zrozumieć, że B-mu chodzi o coś wręcz przeciwnego domysłem autora „Popiołów“. Wystarczy poprostu przeczytać w całości odnośny ustęp z „Pamiętnika“. Oto, co pisze tam między innymi Brzozowski:

„Gdybym miał siłę ku temu, gdybym miał czas po temu rozpocząłbym kampanję przeciwko hegemonji niemiecko-moder-

nistycznych punktów widzenia w Polsce. Ta mieszanina rococa i brutalności, bezdziejowości, braku smaku". I w zakończeniu: „Memento! Umacniaj stosunki z tym światem, wrośnij weli. Narzuc go samemu sobie i Polsce. Ten stan rzeczy trwać nie może...”

Każdy, kto nie jest urodzonym werbalistą, wyczuje tu coś zgoła odmiennego niż to, czego dopatrywał się Ż-i. Widoczne jest, że chodziło B-mu o odsłonięcie umysłem polskim pewnych prawd, które on sam widział,—które go olśniły i które w przekonaniu autora wyzwoliłyby moc energii twórczej, zrzucałyby z nas jarzmo różnych obciążających ducha sugestij ideologicznych. *Il faut méditerraniser la littérature*,—parafrazując Nietzschego, tak możnaby scharakteryzować tendencję omawianego ustępu z „Pamiętnika”. Chodziło autorowi o wyzwolenie myśli polskiej z pod wpływu mglistej niemiecczyny, o uzdrowienie jej w zetknięciu z duchem romańskim, słowem o zdobycie dla niej życia i niezależności. Ale cóż to wszystko znaczy wobec faktu, że przecież są wydrukowane słowa: „Zmieniłbym charakter literatury polskiej na całe pokolenia”? Słowa te przysłoniły Ż-mu rzeczywistość psychologiczną cytowanego ustępu i stały się, według trafego określenia B-go, tylko środkiem do wywołania pewnych następstw wzruszeniowych (uniesienia wolnościowego i oburzenia na „tyranów myśli”).

Nasi krytycy, z namaszczeniem śledzący każdy zwrot ideologiczny u Żeromskiego, w skupieniu wążący każde rzucone przezeń hasło, myśl, wezwanie — wykonywują prawdziwe Szwyfowe prace. Przypominają tego esseistę, o którym mówi Hebbel, że znalazł się w położeniu anatoma, sekcjonującego konia, w myśli, że sekcjonuje Iwa — anatom zapomniał dokonać oględzin naocznych. Krytyk—ogarnąć spojrzeniem całość dzieła, które analizuje. Nasi egzegeci Ż-go nie zadali sobie pytania, kim jest ten, kogo badają, lecz ze skupioną uwagą, a namaszczonej pedanterją rzucili się na dzieło. Krytyka, kładąca nacisk na treść obiektywną przeróżnych pomysłów L-go, widząca w nich odbicie jakiejś ideologii społecznej odbywającej własną wewnętrzną ewolucję nie spostrzega, że w istocie nie chodzi przecież Żeromskiemu ani o wykrycie praw, rządzących pewną dziedziną rzeczywistości, ani o znalezienie właściwej postawy czynnej w pewnym konflikcie motywów — a te właśnie sprawy interesują uczonego i reformatora społecznego — lecz jedynie o takie nastrojenie psychiki, aby wzmogła się jej odbiorczość uczuciowa i zdolność nieskończonego snucia czysto lirycznych konsekwencyj z tego stanu. Krytyka tak ślepo ufająca słowu pisanemu pomimo, a raczej z powodu swej „obiektywnej ścisłości” skazuje siebie na bezplanowe wędrówki po ścieżkach, wyznaczonych przez kaprys lub przypadek, schodzi na bezdroża, z których cofnąć się będzie coraz trudniej, a które tem silniej odwodzić będą myśl od właściwej interpretacji twórczości Ż-go, im bardziej będą błyszczały „ścisłością” i „naukowością”.

W świetle powyższych uwag stynna i tak niepokojąca opinję publiczną kwestja „lewicowości” Ż-go ukazuje się nam w innej zgoła postaci, niż zwykła — to przedstawiać krytyka potoczna. Werbalizm nie święcił nigdy większego triumfu jak w dniu, w którym z powołu ukazania się „Przedwiośnia” okrzyczano Ż-go jako komunistę.

Coprawda nastrój umysłów pewnej części naszej inteligencji znakomicie sprzyja takiemu pomieszaniu pojęć. U nas socjalizm odegrał wśród inteligencji rolę pijawki, odciągającej zgęstniałą krew sentymentalizmu społecznego, który szukał ujścia, a do głębszych form kultury uczuciowej miał wyraźną niechęć, którą

ma zawsze cherlactwo do zdrowia. Socjalizm agitacyjny z jego wyraźnymi rozwiązaniami i potężnym systemem deklamacyjnym, apelującym do owego sentymentalizmu, nadawał tu się znakomicie, ta forma socjalizmu utarła się i ją właśnie ma inteligent na myśli, wymawiając słowo „socjalizm”. Tem tylko można sobie wytłumaczyć, że autor „Dziejów Grzechu” uchodzi u nas za pisarza „socjalizującego” a bodaj i „komunizującego”. Jednak dziś właśnie, kiedy socjalizm z piwnic i suterren dobył się na powierzchnię ziemi i począł budować, występując już nie jako apostoł prześladowanych, lecz jako rządca a nawet dyktator—tego rodzaju sentymentalne jego pojmowanie nie może się w żadnym już środowisku utrzymać. I dzisiaj właśnie wiemy już chyba wszyscy — zwolennicy czy wrogowie socjalizmu, że uczuciowy argument „krzywdy społecznej” odegrał (a po części odgrywa jeszcze) rolę zaczynu agitacyjnego wśród inteligencji, że jest kamieniem węgielnym socjalizmu gadającego, a jednym z niezliczonych kółek maszynierji agitacyjnej socjalizmu budującego. Utrzymanie przy życiu owego sentymentu współczucia z pokrzywdzonymi, sentymentu nie będącego emocjonalnym odpowiednikiem doktryny, reprezentującego raczej wyrodniejące w oderwaniu od swych podstaw chrześcijaństwo, byłoby w fazie rozkwitu socjalizmu nawet błędem taktycznym, mogłoby się bowiem łatwo przeciw samemu socjalizmowi obrócić, wytwarzając atmosferę współczucia z nieszczęsnym, sponiewieranym i ponad wszelką miarę surowo pokrzywdzonym burżujem, a przez to osłabić poczucie klasowe proletariatu, na którym socjalizm swoje rachuby opiera.

Sentyment ten w duszach zaślepieńców stał się przyczyną rozkładu głębszych, z wiekowej kultury wyrosłych postaci uczuciowości; rozkład ten udało mu się posunąć dość daleko, ale też tutaj kończy się jego „twórcza” rola. A nie kto inny, przecież jak właśnie Ż-ki brał ową przypowieść o krzywdzie społecznej za punkt wyjścia swoich rozważań; ów powierzchowny, agitacyjny element socjalizmu był tym hakiem, którego czepliła się jego uczuciowość, stąd wysnuwał swoje bojowe argumenty przeciw dzisiejszemu światu, stąd czerpał zapał do budowy nowego życia.

Skoro jednak sam ów motor nie należy do socjalizmu, lecz bezwiednie lub świadomie jest na jego usługach tylko—to niepodobna o „socjalizowanie” pomawiać tego, czyj jedyny związek z doktryną tkwi w tym właśnie prowizorycznym, akcesoryjnym czynniku. Robiąc z Ż-go komunistę, udowadnia się tylko niezbitcie własną nieznajomością pisarza, no i najniepotrzebniej ofiarowuje się bogaty, bądź co bądź, prezent drogim przyjacielom.

Pouczenia Ż-go, skierowane w istocie ku sprawom czysto uczuciowym, noszą jednak szatę dialektyczną, dają pozór pewnego systemu zorganizowanej myśli. W ocenie tej dialektyki, tego systemu, książka Sorela, o której z takim entuzjazmem odzywa się Ż-i, może nam być wydatną pomocą. Jest ona wyjątkowo pouczająca jako zbiór tez, godzących w sedno dialektyki Ż-go. Z tego też względu pozwolę sobie do książki tej znowu nawiązać.

Oto otwieram „*Réflexions sur la violence*” na str. 207 (wyd. 4 r. 1919), gdzie znajduję następujące zdanie:

„...zdawało im się (utopistom), że ich pomysły są tem więcej przekonujące, im więcej wykład tych pomysłów odpowiadał wymaganiom książki szkolnej. Myśle, że należałoby odwrócić ten porządek i powiedzieć, że trzeba mieć tem większy brak zaufania do projektów reform socjalnych, im łatwiej pozornie rozwiązuje trudności”.

Słowa Sorela atakują całą dialektykę Żeromskiego. Nasz pisarz uważa sprawę za dobrą, o ile udaje mu się przytoczyć na jej korzyść argumenty zdrowego rozsądku, czyniące zadość wymaganiom jednego z licznych wzorów obiegowej dialektyki. Oto przykład. Na str. 30 „Początku świata pracy“ Ż-ki uprzedza zarzut przeciwników projektowanej przez niego reformy rolnej, iż stoi ona w zbyt jaskrawej przeciwieństwie z naturalnym pociągnięciem naszego chłopca do bezpośredniego, zagrodowego władania—twierdzeniem, że na zarzut ten odpowiedzieć można tysiącem zaprzeczeń. Sam zaś autor przytacza fakt, że chłopci bezrolni pracowali przez wieki na cudzych gruntach i ta praca, wykonywana w złych warunkach, bo pod przymusem—była jednak możliwa, dla czegóżby więc miała być niemożliwa ta sama praca, wykonywana w dobrych warunkach, bez bata i z widokami ogromnych zysków ogólnospołecznych. Słowem: skoro coś się robiło w złych warunkach bez żadnego, albo prawie żadnego zysku bezpośredniego czy pośredniego, to można to samo robić w dobrych warunkach z oczywistym zyskiem dla siebie i bliźnich...

Chyba każdy rozumie, że i na to można odpowiedzieć tysiącem zaprzeczeń, wziętych z tego samego zbiornika uproszczonej psychologii. Więc można powołać się na przyrodzone lenistwo ludzkie, które sprawia, że człowiek woli raczej mniej mieć i gorzej żyć, niż intesywnie pracować, można mówić o roli dziedziczenia, będącego potężną podniętą do pracy

dla dzieci właściciela ziemskiego i o tem, że z ustanowieniem tej podniety zmaleje wydajność pracy. A na to wszystko można znowu odpowiedzieć, że nowy ustroj „do gruntu przerobi duszę ludzką“, że „w nowe skieruje koryto żywe siły narodu“ i t. d. Nasza inteligencja przepada za takim dialektycznym przekomarzeniem się—nie dziw też, iż Ż-ki jest jej ulubionym pisarzem. Oczywiście cała ta wymiana argumentów nie pozostaje w żadnym realnym stosunku do życia i w najmniejszym stopniu nie wpływa na nie. Społecznik-reformator zgoła innemi idzie drogami, organizuje on w szersze zrzeszenia grupy ludzkie, w których nagromadziła się pewnego typu konstrukcyjnie zorientowana energia społeczna. Tę energję podtrzymać, rozwinąć i wtopić w szerokie masy—oto co jest programem reformatora. W działaniach swych musi on być ustawicznie czujny, umieć w każdej chwili uderzyć w ten klawisz psychiczny—swego środowiska, którego poruszenie właśnie teraz, właśnie w tych warunkach osiągnie efekt pożądany ze względu na dalszy tok akcji. Jest to zawsze plan bitwy raczej niż *exposé*. Dialektyka i pięknie rozwijane tezy są na miejscu tam, gdzie chodzi o wykazanie wszystkich związków strukturalnych w jakimś procesie społecznym, który już się odbył, tam zaś, gdzie stosuje się ją do akcji planowanej—jest zwykle systemem reminiscencyj rozmaitego pochodzenia, których użyteczność praktyczna jest znikomą.

(Dok. nast.)

JAN EMIL SKIWSKI

Z POEZJI EMIGRACJI ROSYJSKIEJ

PŁYNIE ŁABĘDŹ...

Płynie łabędź wśród marznącej wody—
Nuży go trud.
Wkrótce srebrne okują go lody,
Zraniwszy wprzód...
Wyszedł wreszcie na lód łabędź biały,
Nurza się w śnieg,
Bo nieszczęsny ptak ten osowiały
Nie zna, co bieg...
Gwiazda w górze uśmiechnie się może
Hen, z niebios tła,
Gdy bezsilny, upadnie niebożę
Jak ja!.. jak ja!..

DYMISTR MEREŻKOWSKI

W CICHEJ IZDEBCE

W cichej izdebce, przed ikoną,
Patrona swego czcząc narodu,
Za Rosję modłę się shańbioną,
I widzę: ranek, głąb ogrodu,
Ogromny kamień grób zakrywa,
Strażników zbroje błyszczą w dali
I widzę jeno: Miłość żywa
Grobowy kamień znów odwalil..

ALEKSY SMIRNOW

SZARE PTAKI

Hej! szare my ptaki!.. My ptaki niedoli,
A w pieśni brzmi naszej tęsknota i żal,
Nas z gniazda wygnano... Na obcej my roli
I lecieć nie mamy gdzie w dal..

Za nami móż wielkie zostały przestrzenie,
Za nami kraina najdroższa jest nam,
Tam ły i katusze, tam głód i cierpienie
I groby najbliższych są tam...
—e piersi jej nasze odważnie broniły
Że strzegły tradycji, co dziejów jest tłem,
Nas stada jastrzębi szarpały i biły,
Szaleństwem pijane wciąż swem...
I nasza gromadka od strasznej pożogi
Ratując się, poszła w rozsypkę wśród burz,
Pierchnęła, gdzie sięgnąć nie mogły jej wrogi,
Szukając schronienia dla dusz...
Gdy orkan w nieznane rozprószył nas szlaki,
Gdy w dali błyskawic złocisty lśnił grot,
Gdzie spokój panuje, znużone my ptaki
Tam z pieśnią zwracamy swój lot...

Hej, szare my ptaki!.. My ptaki żałoby,
Lecz chcemy do końca jak jeden trwać mąż,
Do ziemi ojczystej, gdzie przodków są groby
Sercami zrywamy się wciąż...
I mocno wierzymy, że chwila nas czeka,
Gdy sił już nie mając, by cierpieć bez słów,
Nas Matka - Ojczyzna zawoła zdaleka:
„Synkowie, wracajcie tu znów!
„Okrutne jastrzębie owładły mną zdrańdie,
I żrą moje piersi i toczą z nich krew,
Wracajcie, synkowie!“ A wtedy gromadnie
Połecim z radością na zew!..
Czekamy wezwania... Lecz milczą wciąż groby,
Jedynie mgły siwe nam śląc ze swych głusz...
Hej, szare my ptaki!.. My ptaki żałoby
Zmęczonych rosyjskich wszech dusz!..

Ks. F. KASATKIN - ROSTKOWSKI

spolszczyła S. M. S.

№ 3 „MYŚLI NARODOWEJ” SKONFISKOWANY

na mocy zarządzenia Komisarza Rządu m. st. Warszawy, zanim zdołaliśmy go wydrukować. Z urzędowego zawiadomienia p. Komisarza dowiadujemy się, że nakaz konfiskaty nastąpił z powodu fejetonu Aleksandra Świętochowskiego „Liberum veto”.

Obecny Nr. 4 zawiera wszystko to, co było w nr. 3, z pominięciem fejetonu Aleksandra Świętochowskiego.

G Ł O S Y

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

W DN. 18 stycznia rb. Aleksander Świętochowski skończył lat 77. W tym też roku bieżącym upływa 60 lat jego pracy pisarskiej. Zaczął ją w r. 1867 w „Tygodniku Ilustrowanym” od artykułu „Dzisiejszy Kazimierz” pod pseudonimem Henryka Dołęgi.

Na tej rozległej przestrzeni lat, gdy teraz w nią spozieramy, zacierają się barwy haseł, pod których sztandarem młody Świętochowski wojował, aby w Polsce zrobić miejsce prawdzie, kultowi rozumu, prawom człowieka, pracy od podstaw, a które w swoim czasie dzieliły Polskę oświeconą na obozy. Dziś, patrząc na te czasy ze stanowiska historycznego, szczęśliwi jesteśmy, że możemy ramię w ramię pracować z nim w nowych warunkach, nie walcząc z sobą, owszem w porozumieniu: „Wszyscyśmy po swojemu o tę właśnie Polskę wojowali. Myślimy, co dalej z nią robić!”.

Na to, żeby Polska miała dzisiaj myśl, pracowały w historii najnowszej pokolenia romantyków, pozytywistów i demokratów narodowych. Z tych trzech uwarstwień dziejowych wytworzyła się dzisiejsza synteza myśli politycznej. Ich historyczną własnością jest obowiązująca naszą wolność myśl o wielkiej Polsce. Ci, którzy dożyli tej Polski, dochowując płomień idealizmu politycznego, znaleźli się teraz w jednym obozie, mając przeciwko sobie obóz ludzi, którzy do niej doszli wszystkimi innymi mechanicznymi drogami, ale nie drogami historycznymi pracy narodowej. Niczego dla siebie nie żądając, gdy im o łup troska nieznaną, do jednej rzeczy mogliby rościć sobie prawo—do szacunku powszechnego.

W wolnej Polsce, gdy fale życia publicznego wzbierały i rozkołysały się, piraterja bierze czasem górę nad osiadłymi historycznie rybakami prawdy narodowej. Wraz z dewaluacją osobistości nastąpiła era wiązania ludzi w paczki, zwane partjami i znaczenia etykietami. Świętochowskiemu, który na swej walizce po długiej podróży miał różne znaki (pozytywista, polski Wolter i t. p.), chciano przykleić markę lewicy. Ale to się nie udało. Zrobił kilka rzeczy, które zraziły do niego ludzi, szacujących los Polski niżej korzyści partyjnych i osobistych. Stworzył np. (1919) Związek pisarzy Orła Białego i nastawał, aby właśnie tak go nazwać. Nie licząc, co mu Polska da, oddał Państwu wszystko co miał, cały majątek: dwie szkoły przez siebie stworzone w Bratnem (pod Ciechanowem) z gospodarstwem i ziemią. Jako kurator tych szkół płacy za trud ze skarbu nie przyjął, orderu (o którego skreślenia zresztą lewica zabiegała) odmówił. Pozostał wyrobnikiem literackim, zarobkującym na głodowy budżet, co nie przeszkadza mu po pańsku łożyć pracę w badania naukowe. W rezultacie pracuje dziś, jak przez całe życie, przy biurku po kilkanaście godzin dziennie.

W sferach, traktujących sprawy „realnie”, nie umiano na jego czyny znaleźć miary. Nadomiar jako publicysta, wbrew oczekiwaniom, zajął stanowisko krytyczne wobec żydów, w których czasie niewoli widział pobratymców w walce z uciskiem, oświadczył się za nacjonalizmem, a w dodatku w sferach „urbani-

stycznych” niemiłe wywołał zdziwienie, biorąc się do pisania wielkiego dzieła: „Historji chłopów w Polsce”. Teraz właśnie w 60 roku pisarstwa swego skończył tom drugi tego kapitalnego dzieła. Wszystkim, którzy wykreślali w nowej Polsce księdze pozycje narodowe i historyczne — którzy Orła Białego radzi byli obskubać z piór i klejnotów koronnych, którzy nadać chcieli pokoleniu swemu poczucie realnego życia polskiego przez naukę brania, nie dawania—wszystkim tym zrobił Świętochowski zawód. Nie zrobił zawodu tym, którzy w nim zawsze widzieli wiernego głosu krwi bojownika cywilizacji polskiej.

Św. nadawał nazwiskiem swoim markę całemu okresowi dziejów duchowych Polski, ogniskujących się w Warszawie. Historyk Adam Szelągowski do zilustrowania tego okresu w swoich dziejach nowożytnych wybrał portret właśnie Świętochowskiego. Historia literatury uzasadniła już, dlaczego jego imię literackie przechodzi do potomności w blaskach sławy. Dostyc przeczytać dzieła Chmielowskiego, Chlebowskiego, Brücknera, Wojciechowskiego, Szyjkowskiego i in. O dramatach jego pisze Brückner, że „pozostaną na zawsze w literaturze. Z Asnykiem wysuwa się Świętochowski na samo czoło literatury polskiej w okresie jej pozytywistycznym”. Jako publicysta zasłynął w swoim „Liberum veto”, które pisywał w „Prawdzie” lat 30, a teraz pisuje w „Myśli Narodowej”. Zwalczał tam zawsze nielitościwie wszelkie przesady, fałsze i nieprawości, — jak powiada Brückner — pisał je owym „stylem brylantowym, jakiemu polszczyzna naszych najwytworniejszych stylistów rzadko dorównywa, nigdy go nie przewyższa”.

Bezwzględny czciciel rozumu i chłodnego piękna, nie obronił się jako artysta, sercu swemu. Tłumione nakazem ducha czasu uczucie, będące zawsze podłożem jego duszy, panuje dzisiaj nad nią despotycznie. Miarą gniewu jego w tem, co teraz pisze, nie jest chęć dokuczania nikomu, lecz miłość sprawy, której broni. Troska o społeczeństwo, o jego stan dzisiejszy i o przyszłość narodu wypełnia wszystkie chwile jego życia. Westchnienie jego najgłębsze wyraziłoby się w słowach Ariosa z „Duchów”: „Boże, daj sercu mojemu tyle miłości, ile jest w sercach ludzkich cierpienia!”.

Nestorowi naszego piśmiennictwa, najwynioślejszej między pisarzami Orła Białego postaci historycznej wolna Polska winna jest hołd. Winna z tytułu wdzięcznej odpłaty temu, który całe życie szukał Prawdy i doszedł mądrością, że ona mieszka w sercu, wzięwszy na się postać—Powinności narodowej. Z. W.

O WOLNOŚCI SŁOWA

DZISIEJSZY Prezes Rady Ministrów, p. Józef Piłsudski, ogłosił w r. 1903 nakładem krakowskiego „Naprzodu” zbiór fejetonów p. t. „Walka rewolucyjna w zaborze rosyjskim. Część I. Bibuła”. Na 272 stronicach tej książki autor opowiedział czytelnikom, jak system represyj cenzuralnych, początkowo wobec tchórzostwa społeczeństwa skuteczny, z biegiem czasu zbankrutował całkowicie, dając w wyniku jedynie wzrastające wciąż rozpowszechnienie literatury nielegalnej, t. zw. „bibuły”. Z książki tej przytaczamy kilka interesujących fragmentów, nie

„dodając uwag ani objaśnień, podkreślając jedynie rozstrzeleniem druku najważniejsze ustępy:

„Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznana powszechnie potęgą. Jego postępowaniem, jego rozwojem, jego rozpowszechnianiem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacji i kultury. A jak my, Polacy, w zaborze rosyjskim stoimy pod tym względem? Odpowiedź łatwa.

Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfałszowanej historii swego narodu... dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którym stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie skazane na przemawianie potwornym niewolniczym językiem *Ezopa*; dosyć wyobrazić sobie że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce — a często nawet z zwykłym omówieniem; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nieodpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżej jąco wyglądamy wobec innych narodów.

Lecz chociaż „żyjemy w pomroczu“, żyć chcemy. I oto, jako dowód tego życia, wytwarzamy wspaniałe zjawisko — tajną nielegalną literaturę...” (str. 267-268)

A oto jedno ze wspomnień osobistych autora, jakich w książce jest bardzo wiele:

„Przypominam sobie pod tym względem zabawną rozmowę, jaką miałem w Londynie... Skądś z głębi Rosji, z odpowiednimi rekomendacjami przybył poważny, już trochę szpakowaty mężczyzna i zwrócił się do mnie z prośbą o pośrednictwo przy zawarciu stosunków z P. P. S.

— Jakież ma pan interes do P. P. S.? — zapytałem.

— Hm! Interes jest bardzo skomplikowany. Widzi pan my tam w Rosji zawiązaliśmy stowarzyszenie w celu obalenia cenzury!

— Cenzury? — zawołałem zdziwiony — Ależ, panie, czy nie praktyczniej byłoby zacząć od obalenia cara, który tę cenzurę ustanawia”. (str. 8-9) (r.)

EUROPEJSKOŚĆ A RODZIMOŚĆ

Z OGROMNEJ ilości uwag, rozpraw, korespondencji, krytyk, polemik wynika, że dojrzały u nas dwa przeświadczenia bardzo zasadnicze. *Primo*:

Polska wyrosła na pniu kultury zachodnio-europejskiej, ale pozostała w tyle, stąd konieczność intensywnego odrabiania zaległości. *Secundo*: pierwiastki rodzime naszej kultury nie są jeszcze dostatecznie ugruntowane, stąd konieczność obrony ich przed obcymi domieszkami. Czy dwie te konsenkwencje wyłączają się wzajem czy dopełniają, krócej: europejskość albo rodzimość, czy też i europejskość i rodzimość?

Wyłączając pewne skrajne grupy, oczywiście wolimy wszyscy drugą alternatywę. Dyktuje ją zresztą samo życie. Sprowadzamy z zagranicy teorie naukowe, programy artystyczne, maszyny, środki patentowane, mody, broń — u siebie mamy tradycje literackie, formy narodowo-gospodarcze, patriotyzm, ludowość, sentyment.

Taki stan rzeczy pozornie nas zadowala, bo na dłuższą metę budzi pewne wątpliwości, wynikające głównie z tego, że każda cywilizacja idzie *crescendo*, a każda ideologia wymaga punktów oparcia w skuteczności. Otóż — biorąc parę konkretnych przykładów: czy mamy dążyć do uprzemysłowienia Polski za przykładem np. Belgji, czy nie. Czy mamy propagować sporty do miary angielskiej, czy nie. Z drugiej strony, czy możemy być mesjanistami w polityce, albo w ludowym stylu urządzać salony?

Jest to zagadnienie doprawdy trudne. Zważmy bowiem, że gwałtowna asymilacja technicznej kultury przez stare państwa Wschodu niekoniecznie była tylko dobroczynna. W Japonji coraz mniej duszy starego Nipponu — życie społeczne, charakter i style psują się... Turcja oburącz chwyciła się bezwyznaniowości, meloników, feminizmu, militarysty — czy długo będzie sobą? A Chiny — ów nieszczęsny kolos, podminowany przez niejednego triumf europejskości?

Z drugiej strony rodzimość nasza, naogół biorąc, mało zróżnicowana. Jest ług macierzysty, z którego piękne kryształy powstać mogą, ale trzeba niejednego wa-

runku. Rzecz to zrozumiała. To, cośmy wypracowali — w przeszłości — okazało się i skuteczne i żywotne w walce o egzystencję z zaborcami. Trzeba było za wszelką cenę wzmacniać odporność, swojskość. Obok czci dla desperackiej odwagi powstańców miał rację bytu sentyment dla fuzyjki i konika. Rodzimość nasza posiadała cechy ryngrafu i miecza. Ale dziś rzecz inaczej się przedstawia: Idea powinna nie tylko bronić, ale i uczyć, zdobywać, nie tylko eksplodować, lecz i organizować. Dotychczas próby nalewania „młodego wina w stare miechy“ nie dały oczekiwanych wyników. Idee chodzą bowiem jak obłoki nad ziemią, nie są z nią w realnym sprzęgu. Mesjanizm — imponujący teoretycznie — ignoruje organiczny charakter społecznej strony uduchowienia. Jako filozofja i etyka, lekceważy on psychologję żywej jednostki. Jest abstrakcją.

Weźmy hasło ludowości w plastyce i poezji. Zwrócono się po motywy do chałup. Ale chłop pozostał chłopem, zaś artysta prafasonowywał siermięgi na fraczki XVIII wieku, Darzboga na arlekina, Janosika na Apollina, a znów poeta przytupnął i rozwichrzył się do reszty w bezładzie i bezstylu.

Jednej architekturze poszczęściło się z rodzimością; mamy godne uwagi budowle. Gdy jednak przyszło do wnętrza — zabrakło wątku.

Hasło czerpania z ziemi w najszerszym znaczeniu słowa rokuje bardzo wiele, jednak i tu do krystalizacji są, zdaje się, potrzebne odczynniki europejskie. Bez nich zresztą nie istniełoby zapewne i nasi romantycy w pełni, ani Chopin. Poprostu genjusz ich potrzebował obok odruchów rodzimości, bodźców organizacyjnych. Tymczasem ideologia rodzimości w swych dążeniach konstrukcyjnych zbyt rzadko może powoływać się na fakty zorganizowane, dokonane, zbyt często natychmiast musi negatywnie występować, przeciwstawiając się obcym naleciałościom, oczyszczając teren dla konstrukcji. Dobrze i to — atoli niech będzie wolno tu dwie uwagi zrobić.

W poszukiwaniu więc rodzimych ujęć należałoby się programowo trzymać rzeczy niewielkich, przetrwionych, mocno zarysowanych, psychologicznie jasnych i pociągających. Czy miałyby się to tyczyć teorii naukowej, czy konstrukcji przyrządu, czy techniki zdobnictwa, czy gier na plaży — brzmi nakaz: robić rzeczy żyjące!

Druga uwaga tyczy się wagi kultury klasycznej w urabianiu rodzimości. Wraz z całą Europą zachodnią wyrosliśmy z tradycji grecko-italskiej. Możemy tedy omijając modyfikacje nam obce, czerpać z pierwszej ręki, u źródła, i tam tworzyć. *Quod faustum sit!*

LESZEK KONOPACKI

PATRIA — CZY PARTJA

CZY warto polemizować z p. W. Z. z „Głosu Narodu“? Osobiście nie warto, bo nie o niego chodzi. Ale insynuacje trzeba odpierać, skoro są publicznie robione dla celów demagogicznych. Na odpowiedź naszą w zeszycie poprzednim, dlaczego wyznawanie narodu w życiu politycznym nie jest sprzeczne z religją i etyką, p. W. Z. rozpowiada znowu (nr. 16) jakieś anegdoty, a w końcu przyznaje się, że dla niego partja (Chrz. Dem.) jest dobrem najwyższym.

Pokazuje się, że pracujemy w polityce już bez kapitału szerszych pojęć o narodzie. Zdawałoby się, że pierwszym obowiązkiem stronnictwa politycznego jest ugruntować swój stosunek do idei narodowej, wcielanej w życie państwa. Tymczasem rzecznik Chrz. Dem. uważa kwestję narodu za „drobny szczegół“, (tak się pisze w prasie lewicowej), nie umie nawet na ten temat myśleć. Słyszał, że niebezpiecznie jest uważać naród za dobro najwyższe, bo wtedy należy

podobno kłamać dla dobra narodu (przykład: Z. Ba-licki), a jeśli tak ma być z VIII przykazaniem to — „to samo rzecz jasna da się zastosować do V i każdego innego, o ile dobro wyższego rządu będzie tego wymagało“...

Oto poziom dyskusji o narodzie w organie stronnictwa „narodowego“. Cóż bardziej niecnego i bezsensownego mógłby wymyśleć wróg idei narodowej? A pan W. Z. w dodatku się obraża, gdy mu się powie, że jest faryzeuszem. Jest coś gorszego — brak temu kwalifikacji do zajmowania się sprawami narodu, kto wątpi, czy naród jest dobrem wyższego rządu, kto nie ma wiary w naród.

Otóż należałoby to przygwoździć na pamiątkę naszych czasów, że w niesłychanie odpowiedzialnym momencie życia Polski, sternicy opinii publicznej byli bez busoli. Dla kogóż robili dzieje, babrząc się w polityce? Poniewierali ideę narodu dla ważnych celów... partyjnych. A jakąż dają rękojmię, że dla tego swego dobra nie gwałcą przykazań?

Nie wiemy, jak sobie p. W. Z. wyobraża hierarchję duchów w Polsce, kiedy z Balickiego robi krzewiciela niemoralności; nie wiemy, czego życzy Polsce, jeżeli śmie ruch narodowy, który Polsce dał wolność, tak czytelnikom rekomendować. Ale jeśli mowa o przykazaniu VIII, to zapomniał, że brzmi ono: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu“. Kłamię, kiedy dla jakiegoś dobra wyższego nazywa się W. Z., ale to mu wolno. Nie wolno mu jednak łamać tak brzmiącego, jak wyżej, przykazania. Nie wolno mu, nie umiającemu myśleć z sensem o rzeczach elementarnych, człowiekowi bez zasług, bez wiary w naród, wypisywać w organie politycznym Dmowskiemu atestację płytkości i braku konsekwencji. Jest to zgorszenie publiczne, nie tylko śmiech. Jeśli to nie występki przeciwko VIII przykazaniu, to niepo czytalność, do której doprowadza młodych ludzi bisurmanienie się polityczne, gdy im za wiele wolno.

Tłumaczy teraz, że przestrzega przed Dmowskim, bo jest narzędziem „wielkiej idei“, większej niż narodowa. Chrz. Demokracja—powiada—ma za wielkie ambicje, żeby miała stawać w Obozie Wielkiej Polski. To dobre dla Demokracji Narodowej, która się lubi wyrzekać swojej indywidualności („ma gust do samobójstwa“). Chrz. Dem. chce żyć.

Tak u nas kończą się dyskusje o dobru najwyższym w polityce. Cynicznym argumentem, że tem dobrem jest partja. Na to religja i etyka pozwalają.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Nie-„moralna sanacja“. — Nowe ministerjum. — Polityka wobec „mniejszości“. — Wzrost komunizmu. — Powodzenia propagandy niemieckiej i ich przyczyny.

„...**N**IE jest moralną sanacją“—pisze w wydanej właśnie książce p. t. „O własnych siłach“ p. Władysław Grabski—„przeniesienie wyższych urzędników w stan nieczynny. Jest to sposób usuwania ludzi niedogodnych, ale nie sanacja...“ „Dużo“—dodaje — „widzimy tranzlokacyj na ważnych stanowiskach, co przecież nie stanowi żadnego aktu sanacji moralnej“.

To, co w myśl określenia p. Władysława Grabskiego „nie jest sanacją moralną“, dokonywa się obecnie z wznoszącą wciąż szybkością i bezwzględnością. Rubryka „wiadomości politycznych“ w prasie codziennej przepełniona jest, jak nigdy przedtem, informacjami i wzmiankami o „podpisanych już“ lub

„mających wkrótce nastąpić“ t. zw. „zmianach personalnych“. Jak dalece paniczny nastrój opanowywać zaczyna społeczeństwo, świadczy najlepiej pojawienie się w dziennikach pogłoski o możliwości... mianowania redaktora „Głosu Prawdy“ p. Stpiczyńskiego wiceministrem kultury i sztuki! Minister spraw wewnętrznych, jen. Składkowi, posługuje się (jeśli tylko pogoda dopisze) aeroplanem, aby tem szybciej „dokonywać inspekcij służbowych“ i „nieodpowiednich starostów i urzędników“ zastępować innymi.

Nawet w Radzie ministrów każdy tydzień niemal przynosi nowe jakieś „tranzlokacje“ i zmiany. W ostatnim tygodniu wskrzeszono zniesione pod hasłem oszczędności ministerjum poczt i telegrafów, chociaż praktyka czteroletnia bynajmniej na potrzebę ponownego utworzenia tego ministerjum nie wskazywała. Ministrem został jeden z najbliższych współpracowników marsz. Piłsudskiego, b. szef Oddziału II Sztabu (wywiad), pułkownik i poseł z klubu „Wyzwolenia“ p. Bogusław Miedziński. Żywa sympatja, z jaką nominacja ta spotkała się w kołach liberalno-lewicowych, ma, być może, źródło także w nadziei, że ten wybitny specjalista łatwiej, niż ktokolwiek, mógłby wyśledzić ewentualne nadużycia, dotyczące nieprze strzegania tajemnicy listowej, o których możliwości nieraz wspomniano w czasie dyskusyj na temat stacji podsłuchowej w telefonach.

O ile wszakże wszystkie te zmiany, „przesunięcia“, „reorganizacje“ są faktami bądź co bądź drugorzędnego znaczenia, to prawdziwą troską i niepokojem przejąć musi uporczywie powtarzająca się pogłoska o zamiarze utworzenia osobnego ministerjum czy podsekretarjatu stanu „dla spraw mniejszości narodowych“. Zrozumiała jest radość, z jaką o projektach tych rozpisują się pisma żydowskie. Dla Żydów zawsze najdogodniejsze będzie abstrakcyjne pojęcie „mniejszości“, pod które, jakby w równaniu algebraicznym, podstawiać można dowolne wartości rzeczywiste: Żydów, Niemców, Białorusinów, a wzór na rozwiązanie równania pozostanie zawsze ten sam, wyprowadzony z liberalnych, „ogólnoludzkich“ założeń. Rzeczywistość jednakże przedstawia się wręcz odwrotnie: zamiast oderwanej, teoretycznej kwestji „mniejszości“, stoją przed Polską zagadnienia konkretne: żydowskie, niemieckie, ruskie, a każde z nich wymaga zgoła odmiennych metod, działania zgoła innemi środkami, nawet cele, do których dążyć należy, w poszczególnych wypadkach są różne. Jakże wytłumaczyć chęć łączenia tych odrębnych, tak zupełnie nie podobnych do siebie grup ludności, aby jako „mniejszość“—przeciwstawić je wspólnie „większości“ t. j. Polakom? Jakże zresztą wyodrębnić z całokształtu administracji państwowej sprawy, dotyczące „mniejszości“, nie stwarzając jednocześnie najszkodliwszego zamętu i anarchji?

Wogóle prowadzenie polityki w sprawach narodowościowych wymaga rozwiniętego poczucia rzeczywistości, w przeciwnym razie kończy się zawodem w rachubach i sprowadza na Państwo groźne niebezpieczeństwa. Dowodem tej prawdy są aresztowania przywódców białoruskiej „Hromady“, w której chciano widzieć zaczątki ruchu narodowego Białorusinów, a która w rzeczywistości okazała się pracującą na rzecz Moskwy organizacją komunistyczną. Ale sprawa „Hromady“ winna także skłonić do zwrócenia baczniejszej uwagi na postępy komunizmu i to nietylko na kresach: wybory do rady miejskiej w Pruszkowie, podczas których lista komunistyczna uzyskała największą liczbę mandatów, są po niedawnych wyborach warszawskich do Kasy Chorych nowem ostrzeżeniem, które nie powinno być zlekceważone. Klub sej-

mowy Związku Ludowo-Narodowego zgłosił do łaski marszałkowskiej wniosek, wzywający rząd, aby w ciągu dni czterech opracował projekt ustawy przeciw komunistom i przedstawił go sejmowi. Ale nie wyłącznie sejm i rząd, lecz przede wszystkim społeczeństwo ma obowiązek wyciągnięcia właściwych wniosków z sytuacji, aby wobec organizowania się sił wroga, nie było bezbronne.

Układ stosunków na terenie międzynarodowym również nie daje, z polskiego punktu widzenia, powodów do optymizmu. „W chwili obecnej Polska czuje się nieco odosobniona” — temi słowy określa położenie artykuł wstępny „Times” ’ów z dn. 17 z. m. Niesłychane oświadczenie delegata Francji do Ligi Narodów, p. Henri de Jouvenel’a który w wywiadzie, udzielonym redakcji berlińskiego „Lokal-Anueiger” a, wyraził się: „Nie twierdzą, że obecne granice wschodnie Niemiec muszą pozostać bez najmniejszej zmiany” jest oczywiście nietaktem, skandalicznym „faux pas”, nie zaś wyrazem poglądów rządu i społeczeństwa francuskiego na sprawę nietykalności naszych granic. Ale fakt, że nietakt ten nie został w należyty sposób naprawiony, jak również cała wogóle polityka p. Brianda w stosunku do Niemiec, łatwo prowadzi do wniosku, że francuskie ministerjum spraw zagranicznych mogłoby jednak więcej liczyć się z wartością Polski, jako sprzymierzeńca i jej najbardziej żywotnymi interesami. Trzeba stwierdzić, że pozycja międzynarodowa Polski została w ostatnim półroczu w widoczny sposób osłabiona, zaś propaganda niemiecka osiągnęła jednocześnie bardzo znaczne sukcesy, skoro może pochłubić się takim powodzeniem, jak wywiad p. de Jouvenel’a.

Aby wszakże zrozumieć triumfy propagandy niemieckiej, należy przyznać otwarcie, iż są u nas ludzie, którzy postępowaniem swym niejednokrotnie dają pozory do mniemania, że dyskusja w sprawie „pokojowej zmiany granic Polski” nie byłaby jednak niemożliwością. Dość przypomnieć choćby udział pewnych polityków polskich w wybitnie antypolskiej akcji na rzecz „Paneuropy”. Dość przypomnieć artykuł posta Hermana Diamanda w berlińskim „Vorwärts” ie, w którym żali się, że „dotychczas nie spotkaliśmy się z propozycją, umożliwiającą nienagannie rozwiązanie” sprawy t.zw. kurytarza pomorskiego, jakgdyby dla Polaka sprawa ta nie była już raz na zawsze, nieodwołalnie rozwiązana!

Ostatnio znów przybył do Łodzi prezydent parlamentu niemieckiego, dr. Loebe, aby tam wobec licznie zebranej publiczności oświadczyć w przemówieniu, że „granice państwowe nie są nigdy wieczne”, że „Pomorze jest potrzebne Niemcom ze względów gospodarczych” i że... „sprawa ta musi być załatwiona w drodze pokojowego porozumienia”. Nie przeszkodziło to wcale, aby prezydent Reichstagu był uroczyście podejmowany i goszczony przez socjalistów i nie tylko socjalistów polskich w Łodzi i w Warszawie. Poprobuje puścić na chwilę cugle fantazji i wyobrazić sobie, iż np. marszałek Rataj udał się do któregoś z miast niemieckich i tam wygłosił mowę na temat, że „granice państw nie są wieczne”, że „dla Polski koniecznością jest posiadanie Prus Wschodnich i Królewca”, i że ma nadzieję, iż sprawa ta „da się załatwić w drodze pokojowej”. Czy znalazłoby się w parlamencie niemieckim stronnictwo, które nazajutrz wyprawiłoby na cześć p. Rataja śniadanie, czy dziennik, zbliżony do osoby kanclerza, napisałby o nim pełen sympatii artykuł i czy p. Loebe tak skwapliwie zapragnąłby wspólnie z nim fotografować się w gabinecie przewodniczącego Reichstagu?

J. R.

NAUKA I LITERATURA

POWSTANIE LISTOPADOWE

Dzieło J. Harbuta — powieść St. Szpotańskiego

W OPRACOWANIU dziejów rewolucji Listopadowej spotkali się dwaj autorowie — historyk i powieściopisarz, którzy tak znakomicie dopełnili się wzajemnie, że czytelnik ich książek otrzymuje dokładny obraz wypadku.

Po stłumieniu powstania car Mikołaj, mszcząc się nie tylko za bunt i obrazę z detronizacji, ale i za trwogę, jaką uczuwał podczas przebiegu wojny, która mogła być zakończyć się jego porażką a skończyła się zwycięstwem, otworzył szeroki upust swemu przyrodzonemu okrucieństwu. Rozkazał ks. Paskiewiczowi ustanowić sąd dla ukarania schwytanych i nieschwytanych przywódców i uczestników powstania, złożony z 8 generałów rosyjskich i tyluż „prawomyślnych polaków”, zruszczonych lub spodłonych w jego służbie, pod prezydencją gen. Wittta. Śród tych wynaturzeńców znajdowały się osobistości wybitne — Józef Faleński, prawnik, tłumacz rozpraw niemieckich, autor „Historji Polski”, ojciec poety znanego pod imieniem Felicjana i Józef Kałasanty Szaniawski, filozof, znieprawiony przez Nowosilcowa i znieprawiający innych (między nimi M. Mochnackiego). Próbowano wciągnąć do udziału w tym sądzie kilku hrabiów polskich; lecz Aleksander i Franciszek Potoccy, chociaż rzetelni „wierno-poddani”, wymówili się od tego zaszczytu chorobą, a Wincenty Krasiński, ojciec Zygmunta, potępiony w opinji jako członek sądu sejmowego odosobnionem głosowaniem, skazującym oskarżonych o związek z dekabrystami, usprawiedliwił się prośbą, ażeby mu nie kazano do dawnej niestawy dołączać nowej. Prokuratorem, nie tylko kierownikiem długiego śledztwa, ale faktycznym autorem srogiego wyroku mianowany został Pokłękowski, karierowicz wspinający się po szczeblach podłego służalstwa, nieczuły na sprawiane swym ofiarom męczeństwa a wrażliwy na przyznawane mu za nie nagrody. Postawił on przed sądem dwustu kilkudziesięciu (częściowo nieobecnych) winowajców, między nimi 140 uczniów Szkoły Podchorążych, a na czele tej gromady pierwszego herolda rewolucji i przywódcę napadu na Belweder podczas nocy Listopadowej — Piotra Wysockiego.

Dr. J. Harbut w swem obszernem dziele „Noc Listopadowa” (Książnica, Warszawa 1926) zajmuje się głównie tym czcigodnym, a niedocenionym bohaterem, zasłoniętym cieniami, z których wydobywa się całkowicie po raz pierwszy, wprowadzony przez p. H. z nieznanymi materiałami archiwalnymi, dotyczącymi tego olbrzymiego procesu. Wysocki był człowiekiem dziwnie nieszczęśliwym: nie udało mu się schwytać w Belwederze ks. Konstantego, nie udało mu się ująć z bitwy na Woli, nie udało mu się wydobyć z więzienia, nie udało mu się znaleźć obrońcy przed sądem, nie udało mu się uciec z Syberji a nadewszystko nie udało mu się uzyskać czci u potomnych, na którą ze wszystkich uczestników powstania najwięcej bódaj zasłużył. Podczas gdy mniej godnych wyprowadzano na pierwszy plan sceny dramatu dziejowego, jego pozostawiono na uboczu, traktując go jako postać podrzędną, jako tego, który rzucił iskrę w prochy rewolucji ale nie wywarł żadnego wpływu na jej przebieg. Wywieziony na Syberję próbował uciec, za co ukarano go 1000 pałek. W r. 1857 otrzymał pozwolenie powrotu do kraju pod warunkiem niewydalania się z miejsca pobytu. Osiadł w Warce, gdzie mu przyjaciele kupili 40 morgową kolonję. Wyjeżdżając z Syberji, rozdał

wszystko pozostałym rodakom, w kraju również wszystkie zbywające od najkonieczniejszych potrzeb dochody rozdał biednym. Pomimo silnej budowy musiał leczyć się z niezagojonych ran po skatowaniu syberyjskim, do końca życia, które zamarło w r. 1875. Miłosierny, dobry, smutny i milczący stał jak żywy nagrobek pogrzebanych nadziei osobistych i narodowych, prawie zapomniany przez społeczeństwo, czczony tylko w małym kole bliższego otoczenia. Wskrzeszenie i nowe oświetlenie tej pięknej postaci jest wielką zasługą dr. Harbuta i cennym nabytkiem dla historii powstania Listopadowego.

Chociaż w jego dziele przesuwają się ubocznie inni uczestnicy tego dramatu, ukazał ich zbiorowo, właśnie z najmniejszą uwagą na Wysockiego, S. Szpotański w czterotomowej powieści „Bez słońca“ (Biblij. dzieł wyb.). Rewolucja Listopadowa nie ma naczelnego, przewyższającego innych bohatera, posiada tylko gromadę ludzi bądź małych, bądź zatracających w tem fatalnym zawichrzeniu swą gdzieindziej i kiedyindziej okazaną wielkość. To też postacią, około której wiąże w ciąg wątek powieści, jest nieznan historyjki oficer Znamierowski. Nie on jednak nadaje barwę obrazowi, ale wiernie i wyraziście przedstawiony pstrokaty komplet owych figur różnej miary, a ogółem niedorostłych do swego stanowiska i zadania. Dzielny wojak w armji Napoleońskiej, chwiejny i nieporadny w polskiej, brutalny, wybuchliwy, daremnie usiłujący pogodzić patriotyzm z lojalizmem względem cara, przyjmujący i składający godność naczelnego wodza, grający przy tym wodzu, niedołącznym Radziwile pod Grochowem rolę stratagicznego suflera Chłopicki; pomysłowy, ambitny a niezdecydowany Prądkowski; blagier, wygodniś i egoista Skrzynecki, intrygant Krukowiecki, płaczący się w sidłach polityki czynnej Lelwel i inni zarysowani wiernie. Nadewszystko zaś z jałowych narad, zmienianych planów, ustawicznych zmian osobowych i taktycznych, ze słabych lub kurczących się w zamęcie charakterów, wyłania się bolesna prawda faktu, że w powstaniu listopadowym nie było ani jednego istotnie wielkiego człowieka, zdolnego osiągnąć zupełnie możliwy do osiągnięcia cel wybuchu, poprowadzić naród do zwycięstwa w obronie swej wolności. Wszyscy, jeśli nie zdradzali lub nie cofali się tchórzliwie przed ryzykiem i niebezpieczeństwem, marnowali czas, marnowali siły i środki narodu, bez świadomości i złej woli przygotowywali mu sroższą niewolę i ułatwiali wrogowi triumf. Powstanie Listopadowe rozgrywało się rzeczywiście „bez słońca“, tylko przy szybko gasnących pochodniach i nikłych, kopających i swędzących kagankach.

Taka jest historyczna strona powieści Szpotańskiego.

Co do artystycznej autor z wielkim talentem wprawia w ruch gromadę postaci, z których żadna nie jest ostoją wypadków, wszystkie tworzą szereg żywych scen. Z tą samą umiejętnością kreśli obrazy pochodów i bitew wojskowych. Ponieważ zaś w charakteryzowaniu historycznych osób zachowuje ich zasadnicze rysy, jego powieść staje się ciekawą, pouczającą i artystyczną lekcją o najważniejszym ułamku porozbiorowych dziejów naszych.

A. Ś.

GEORGES OUDARD

POKOLENIE współczesnych pisarzy francuskich dzieli się bezwzględnie na dwie kategorie: na tych, którzy byli na wojnie i na tych, którzy w niej nie brali udziału. Jest to oczywiście klasyfikacja bardzo ogólnikowa, ale niemniej dla twórczości pod wielu

względami charakterystyczna, gdyż wypadki lat 1914—1918 wybiły na umysłowości tej generacji niezatarte piętno. Iluż bowiem pisarzy, dzisiaj znanych, rozpoczęło podobnie jak Roland Dorgelès karierę literacką od opowieści szeregowca-żołnierza.

Georges Oudard do tej właśnie należy grupy.

Twórczość tego młodego pisarza jest również bardzo znamienita i z tego względu, że rzuca ona ogromnie ciekawe światło na specjalne środowisko, jakim jest środowisko burżuazji francuskiej, z której autor pochodzi, a której myśli i uczucia tak wielkim uległy przeobrażeniom wskutek światowego przewrotu.

I tutaj zaraz na wstępie zaznaczyć należy, że Georges Oudard, w przeciwstawieniu do innych, pozostał wierny zarówno tradycjom rodzinnym jak narodowym.

„*Ma Jeunesse*“, pierwsza książka Oudard'a, odmalowuje w sposób żywy trzy fazy, wzięte pomiekąd z życia samego autora. Młody Gollange, nie mający żadnego specjalnego fachu, albowiem z ojcem, będącym fabrykantem portmonetek, pracować nie chciał, zajmował się po ukończeniu nauk — trochę z nudów, dla zabicia czasu — historycznymi studjami nad Marją de Medicis. Dążył jednak właściwie przedewszystkiem do wyzwolenia się z pętów własnego kupieckiego środowiska. Gollange nie zapiera się ani ojca, ani matki, ale pragnie zerwać z ich przeszłością, ich małomieszczańskimi tradycjami.

Akt mobilizacji wrywa go z tej egzystencji bezczynnej. Sierżant Gollange, przeniesiony od pierwszych tygodni wojny w inne warunki, pomiędzy innych ludzi, zaczyna też innymi oczami patrzeć na świat. I powoli, pod wpływem wspólnie przeżywanego cierpienia, w obliczu niebezpieczeństwa, w oczekiwaniu lepszego jutra, budzi się w młodym Paryżaninie poczucie głębokiej solidarności w stosunku do swych współtowarzyszy, należących do najrozmaitszych klas społecznych. Ta druga część życia czyni z niego prawdziwego człowieka, który pod Verdun mocował się ze śmiercią: poznał sam siebie odkrył ludzi i zapoznał się z ich charakterami w chwilach, w których człowieka nawet na kłamstwo już nie stać.

Wreszcie trzecia, może najciekawsza faza bohatera „*Ma Jeunesse*“, odnosi się do powrotu do życia normalnego. I tutaj właśnie Oudard z dużym poczuciem psychologii odmalowuje tragiczne zmaganie się ludzi wykołejonych wojną, t.j. tych, którzy byli bohaterami na polu walki, a niczem — zerem niemal — w życiu cywilnym. Gollange jednakowoż początkowo jest pełen entuzjazmu: żeni się i pragnie za wszelką cenę utrzymać stosunki ze swymi dawnymi towarzyszami. Wysiłki to jednakże daremne. Powrót do życia normalnego stanowi równocześnie powrót do różnic społecznych. W wykwintnym salonie państwa Gollange przesuwają się najrozmaitsze osobistości, zarysowuje się silnie odmiennosc przekonań, wychowania, pochodzenia. To zestawienie ludzi tak blizkich sobie w obliczu śmierci, a tak dalekich w życiu normalnym, jest przeprowadzone w książce Oudarda z wielką umiejętnością i świadczy o prawdziwym darze obserwacji, cechującym autora. Młody Gollange sam przyznaje się, że jest „*un raté*“, gdyż zdaje sobie dobrze sprawę, że przedwojenne społeczeństwo mogło tolerować dystygowanego amatora, — badacza Marji de Medicis — ale powojenne domaga się czegoś więcej, bardziej skonkretyzowanego stanowiska społecznego. A fachem Gollange'a był fach wojskowy. Trudności zaś natury materialnej w brutalniejszy jeszcze sposób dały mu odczuć rzeczywistość: w obliczu ich człowiek albo działa, albo ginie.

I tutaj w książce Oudard'a uwidoczniła się wielka siła żywotna Francuzów, których przeciwności nie przy-

tlaczają, nie ubezwładniają, ale wprost przeciwnie, dają jeszcze bodźca, pobudzają do walki i czynu. Gdyby Gollange był Rosjaninem, napewno w ciężkiej moralnie i materialnie chwili życia poddałby się wpływowi swych dawnych przyjaciół—socjalistów, wyznających zasadę „najmniejszego wysiłku“, lub też rozkoszował się lirycznie własnym cierpieniem. Ale Gollange-Francuz w trudnym właśnie momencie zawyrokuje: „*L'existence est belle, ça j'en suis certain. Je veux vivre, je veux vivre!*“ Ten okrzyk jest silniejszym od wszelkich innych okrzykiem zwycięstwa.

Wtedy to młody bohater pozostawi innych rewolucyjnym rozmyśleniom; wyzbędzie się mrzonek, a powróci do tradycji i zrzućwszy pychę z serca będzie jako zwyczajny urzędnik pracował u następcy swego ojca.

I w drugiej powieści Oudard'a „*L'Homme Marié*“, powieści bardzo ciekawej, wziętej również żywcem ze środowiska burżuazji, występują te same cechy talentu autora, ale w formie bardziej wyrafinowanej, wycienionej. „*L'Homme Marié*“ — to Don Juan żonaty, ale Don Juan-burżuj, malkontent bez charakteru, który chciałby dla snobizmu, dla fanfaronady przystosować swe życie do nowych koncepcyj szerokiej, amoralnej egzystencji. Nie może jednak zdecydować się na porzucenie żony, domu, wygod. To też te silne przeżycia będzie jedynie przechodził w zaciszu swego gabinetu, bo pomysłów awanturnicznych w czyn nie wprowadzi. Wzajemian jednak, Pierre Arquenoy w wygodnym fotelu puści wodze fantazji i z zamiłowaniem oddawać się będzie potwornej analizie uczuć i myśli i monstrualnym wprost rozmyśleniom na temat życia własnego i swych bliźnich. Ale ten nowy typ gabinetowego Don-Juana w końcu nietylko abdykuje, lecz zapragnie nawet... być ojcem.

Obok bohatera tej powieści, Pierre Arquenoy, opisał Oudard z ogromną finezją charakteru kobiece i wogóle ukazał cały szereg sylwetek ze świata burżuazyjnego, ich ciasne ramy myślenia, małostkowy charakter. W ten sposób cały ten świat przesuwa się przed naszymi oczami, pozostawiając raczej melancholijne wrażenie jakiejś niedograanej nuty, jaką jest życie ludzi zmarnowanych, którzy sami właściwie nie wiedzą, czego chcą.

Oudard posiada nadzwyczaj rozwinięty zmysł obserwacyjny, wskutek czego skala wrażeń jest u niego bardzo różnorodna. „*La meilleure maitresse*“ jest właściwie rodzajem studjum psychologicznego o wartości złudzeń, napisanem z dużą werwą. Iluzje należycie kulturowane pozwolą bowiem człowiekowi upośledzonemu fizycznie na budowanie zamków na lodzie, na posiadanie bogactwa, ukochanej kobiety—*la meilleure maitresse*... Zresztą jak słusznie powiedział jeden z bardzo ciekawych autorów francuskich, Savignon: „*Et quoi saurait compter hormis nos rêves?*“

W książce tej Oudard rozwinął bardziej jeszcze swój talent pochwytywania słabości ludzkich. Należy on zresztą do rzędu tych autorów, którzy nie tyle starają się opisywać charaktery, sytuacje, ile raczej bohaterzy jego przez akcję określają sami siebie gestami, czynami lub też ich brakiem.

Utwór, jaki Georges Oudard przygotowuje obecnie, może zadecydować o nowej linii jego twórczości. Utworem tym będzie „*Law*“. Głośny ten smutnej pamięci bankier dokonał w XVIII-ym w. inflacji we Francji, wskutek czego krajowi zalanemu banknotami zagroziła ruina. Sam Law uciekł do Włoch, unosząc z sobą z całego bogactwa jedynie dwa pierścienie. W Wenecji, w małym kościółku koło Piazza San Marco, pod skromnymi taflami białego i czarnego marmuru spoczywają zwłoki Law'a. Zwiedzając kościół ten, Oudard zatrzymał się przy opuszczonym grobie, kontrastującym z życiem pełnem awanturnicznych przygód i złudnego bogactwa.

To też, kiedy Henri Massis, który kieruje u Plon'a działem ciekawej kolekcji, *Le roman des Grandes Existences* w której wyszła między innymi doskonała „*La prodigieuse vie d'Honoré de Balzac*“ pióra René Benjamin, a ostatnio „*François Villon*“, którego autorem jest Francis Carco, zapytał młodego pisarza, czy nie napisałby jakiejś książki do tego zbioru żywotów, Oudard, pod wpływem weneckich wrażeń, odpowiedział: — *Law!*

Oudard ma niewątpliwie wybitny talent powieściopisarski, rozwijający się po linii psycho-analizy. W stylu jego brak jeszcze pewnej jędrności i oryginalności, ale posiada on dużą dyscyplinę myślenia, a powieści jego solidną konstrukcję. Przytem autor „*Ma Jeunesse*“, w przeciwieństwie do tak licznych zastępów młodych pisarzy, goniących za sztuczną często oryginalnością, silących się na wybitcie się za wszelką cenę, bez przebiegania w środkach, pozostał przede wszystkim sobą, a wskutek tego nieco na uboczu literackiego futuryzmu, kubizmu czy też surrealizmu. Georges Oudard zadowala się się bowiem zwykłym realizmem, będąc słusznie zdania, że wszelkie na d—wartości prowadzą często na manowce... nawet w dziedzinie literatury.

IRENA BRIARES

Z NOWYCH POEZYJ

Pomimo pozornego stwardnienia serc i ociężałości w atmosferze pojawia się na widowni literackiej sporo książek z poezjami. Wspominaliśmy w tem miejscu w nr-ach 1 i 2 obszerniej o zbiorach Beaty Obertyńskiej (drukarnia uparcie składa to imię jako „Berta“) i Miłosza Gembarzewskiego. Najwydatniejszym zjawiskiem jest bogaty wybór utworów Zegadłowicza pt. „Dom jałowcowy“ (u F. Hoesicka), o którym obszerniej trzeba się wypowiedzieć. Po za tem wyszedł „Płaczący ptak“ Młakowiczówny, „Bunt Lawin“ Kazimiery Alberti'owej, „Oburącz“ Juliana Przybosa; „Laur Olimpijski“ Kaz. Wierzyńskiego. Zapowiedziano zaś, że są już w druku na ukończeniu zbiorki M. H. Szpyrkówny i Marji z Kossaków Pawlikowskiej (Hoesick).

Z pomienionych powyżej zbiorów dwa: Wierzyńskiego i Przybosa mają z sobą wiele wspólnego w intencji artystycznej. Różnice są w formie. Wierzyński wie dzie się z romantyków, Przybós — z jakiegos futuryzmu. Pierwszy śpiewa jak włoski tenor Fausta odmłodzonego, drugi — robi basowego Mefista prosto z piekła fabryki. Obaj są jednak z atletyki: jeden z lekkiej, drugi z ciężkiej. Wierzyński i Przybós śpiewują na cześć muskułów i ukrytego w nich natchnienia. Pierwszy widzi te muskuły w świecie sportu Olimpijskiego lekko-atletycznego, — drugi w świecie pracy przy maszynach. Zeszli się tak, idąc naprzeciwko siebie. Wierzyński, jakby schodził z góry, a Przybós — jakby wchodził. Wierzyński był już skowronkiem w kulcie tęsknot duchowych. Pozostał mu jeszcze tryl i nim opiewa teraz sportowy dryl bicepsów. Przybós przed dwoma laty nie znał jeszcze człowieka. W poezji naśladował hurkot i trzask maszyny. Straszyl. Zdawało mu się tam nad Skamandrem podwawelskim, że wydobędzie poezję z chodników, dachów i maszyn taką, jak poprzednicy dobywali z przyrody. Przekonał się, że to nie pójdzie; a że ma talent i ambicję artystyczną, doszedł, że jednak człowiek jest sprawcą i miarą poezji i że jego trzeba uczynić w poezji momentem centralnym. Doszedł, że ciekawsza jest ręka, która maszynę obsługuje i namacał w niej puls, który jest tętnem życia. Jego „Oburącz“, to wielki postęp, znalazł się tam, gdzie Kasprowicz zaczynał od naturalizmu. Pewno pójdzie teraz za człowiekiem drogą w górę, bo takie jest prawo ducha, szukającego trudnych rozwiązań zagadki życia. Mechanikę pozostawi inżynierom. Dokąd dalej pójdzie Wierzyński trudno powiedzieć. Nad Skamandrem warszawskim duch poetycki za wskazówką czasu wchodzi w znak programów minimalistycznych. Obniża lot, pomniejsza ideały. Powstrzymuje stolicę, aby nie wyrastała z roli małej Warszawki. Więc schodzi na dół, kędy droga do—kabaretu.

* * *

Zbiorek poezyj Kazimiery Alberti „Bunt lawin“ — to bardzo wdzięczny pokaz taternictwa kobiecego w poezji: Niebo na przedwiośniu, Wiosna w Zakopanem. Po deszczu, Giewont, Halny Wiatr, Z Świnicy, Noc przy Morskiem, Burza na Koszycach. Kilka listów, pewno do męża, jeden niewysłany, jeden błękitny...

„Patrzę na mżące lampy, na trotuar śliski
nagle mi się zdaje, jak gdyby ktoś bliżki
Przejmująco i długo w pustce na mnie wołał.“

Nie wszyscy chodzą po górach lub bawią się w Zakopanem, a tęsknota dosięga i tutaj.

„Za oknem dźwięczą krople—deszczu płynna gama
O szyby tłucze gruby, srebrny groch
Wszyscy gdzieś poszli — w mroku siedzę sama...”

W jednym z listów poetka marzy: „Chciałabym z Tobą w wirchy — na przełęcza iść, ręce w Popradzkim skąpać stawie”. Bywa, że się ziszczają to marzenie. Bywa, że na Koszycy zaskoczy burza, a wtedy

„Na skrzyżowaniu niebnych dróg
Zda się — sam Bóg
Zapata lonty,
Z armat wali.”

To znowu poetka notuje, jakie ta wiosna (gdy z dachów kapie w południe, a „kałuże wody lśnią w słońcu jak lustra”) „ma ciepłe i wilgotne usta”.

„O zmierzchu wiatr nacicha,
Narożna kawiarnia wabi mnie zalotnie.
Rzędem szyb oświetlonych namawia i czyha.
Muzyka gra. O szóstej ludzie płyną rzeką.”

Jakby się było w Zakopanem! „Wszystko jest nagłe i ważne”. „Dzieją się rzeczy, jak w ciekawej książce”.

Ma to wszystko wdzięk, bo pisane jest bez pozy.

I rzetelnie oddane, jakby się poznawało świat z odbicia w wodzie. Nie jest to woda wielka, ale cicha i czysta. Trochę nieba, trochę chmur, czasem wirch śnieżny zajrzy, często widać tylko tęskne oczy, a zawsze dużo starania o urodę formy, w jakiej to ma być pokazane.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W tych dniach ukazała się książka prof. Romana Rybarskiego p. t. „Naród, jednostka i klasa”. O dziele tem, będącym w dziejach polskiej myśli politycznej doniosłym zdarzeniem, zamieścimy wkrótce obszernie sprawozdanie. Obecnie, dla zorientowania w bogactwie treści, jakie w nim jest zawarte, podajemy tytuły rozdziałów: 1. Kryzys idei XVIII wieku, 2. Wiara w naukę, 3. Prawa jednostki, 4. Ideał ogólnoludzki a „solidaryzm”, 5. Idea walki klas, 6. Siła poczucia narodowego w XIX i XX wieku, 7. Czem jest naród?, 8. Wartości narodowe, 9. Walka narodów i etyka narodowa, 10. Przeszłość i przyszłość w życiu narodu, 11. Wpływy obce i asymilacja, 12. Naród a państwo, 13. Charakter polityki narodowej i charakter w polityce.

*

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa ukazała się nowa książka b. prezesa Rady ministrów Władysława Grabskiego p. t. „O własnych siłach”. Jest to zbiór artykułów, napisanych w ciągu ostatniego roku, a drukowanych przedewszystkiem w „Kurjerze Warszawskim” i w dwutygodniku „Drogi Naprawy”. Wszystkie one — jak określa sam autor w przedmowie — „owiane są jedną myślą i do jednego zdążają celu: do ustalenia tego, że sami własnymi siłami potrafimy i powinniśmy poradzić sobie z trudnościami naszej sytuacji ogólnej, bylebyśmy odpowiednio w tym celu postępowali”.

Nowa książka Władysława Grabskiego, z konieczności dość fragmentarycznie ujmująca poruszane w niej zagadnienia, zawiera jednak szereg niezwykle trafnych uwag; jak np. wymowną przestrożę przed taką pożyczką zagraniczną, która uzależniaby politykę Polski od zorganizowanych czynników międzynarodowych. I choć nieraz ten lub ów pogląd autora wywoływać może zastrzeżenia, zbiór „O własnych siłach” niewątpliwie rzuca wiele cennego światła na położenie polityczne i gospodarcze Polski współczesnej.

*

Szlachta polska, klasa rządząca kraju lądowego, otoczonego chciwymi zaborów wrogami i posiadającego wszystkie granice otwarte, żadną naturalną tamą nieubezpieczone, pomimo najsmutniejszych doświadczeń, naśladowała taktykę kraju morskiego, zabezpieczonego z zewnątrz położeniem wyspiarskim — Anglii. Nie chciała utrzymywać armii stałej a doraźnie zebraną poddać pod zwierzchnictwo władzy wykonawczej. Wojsko pozostawało pod rozkazami niezależnego hetmana. Błąd ten dostrzegła i chciała naprawić Konstytucja 3 Maja, ale szybko zduszona pozostawiła tylko w historii pamiętkę rozumnego zamiaru. W szczególnej czci, jaką otoczono ten prawodawczy akt ratunkowy, znalazło się również uznanie dla jego uchwały wojskowej, ale niestety, czasem trudniej pozbyć się dziedzictwa faktycznie, niż go się wyrzec słownie. Chociaż więc pouczenia należyte przez okropne skutki dawnego błędu, postanowiliśmy go unikać, powtarzamy go jednak tylko w innej złagodzonej formie. Mamy armję stałą, ale jak niegdyś rozstrojoną i podartą ambicjami osobistymi, a nadto oderwaną od rządu i oddaną niezależnej władzy hetmańskiej. Przeciwno temu rozstrojowi i tej niezależności, a przytem prze-

ciwko równoległemu istnieniu nieokiełznanych związków zbrojnych zwrócił się gen. St. Haller w broszurze „Naród, a armia” (Kraków 1926), której rozumne, szczerem patryotyzmem natchnione i z głęboką znajomością przedmiotu nakreślone karty, każdy myślący o dobru ojczyzny obywatel przeczytać powinien. Dozna jednocześnie radości ze światłych rad i smutku z ich niespełnienia.

*

Bardzo mozolną, ale i bardzo pożyteczną pracę podjął E. Chwalewik, której pierwszy tom wyszedł p. t. „Zbiory polskie, archiwa, biblioteki, gabinety, galerje, muzea i inne zbiory pamiątek przeszłości w ojczyźnie i na obczyźnie” (Warszawa 1926). Autor zakreślił dla swej encyklopedji zbyt obszerne granice, a właściwie nie zakreślił żadnych. Włącza bowiem do niej wszelkie „zbiory” zarówno publiczne jak prywatne. Gdyby więc miała być pełna, musiałaby objąć każdą kolekcję przedmiotów, każdą biblioteczkę domową. Łatwo dostrzedz, że to jest ani potrzebne, ani możliwe. Skutkiem tej niemożliwości nieuniknione są braki. Tak np. dowiadujemy się, że Tow. czytelni w Ciechanowie posiada około 4000 tomów z zakresu beletrystyki i historii polskiej, ale nie dowiadujemy się, że niższa szkoła rolnicza Bratne w pow. ciechanowskim posiada bogaty księgozbiór. Ale nie należy zapominać, że wszelkie spisy inwentarza kultury, dokonywane zabiegami jednostkowym i drogą prywatną, nie mogą być dokładne, to wszakże nie zmniejsza wielkiej wartości tego, co dają.

*

Praca Wacława Świątkowskiego „Suwalszczyzna i okolice nadniemeńskie”. (Warszawa, 1926 r. Nakładem autora.) zawiera opis ziemi suwalskiej na tle historycznych i historjograficznych horyzontów przeszłości. Ziemia ta była pobojowiskiem walk Rusinów, Tatarów, Litwinów i Krzyżaków, a od dnia Unji Lubelskiej terenem kulturalnej pracy polskiej. Liczne dzieła tej pracy, od czasu zaboru niszczył i zacierał rząd rosyjski, a ta akcja niszczenia trwa dalej, gdyż do Polski niepodległej wróciła zaledwie część dawnych posiadłości, Pan Świątkowski w swej naukowej wycieczce opisuje ślady dawnej polskości, historję zakładania miast i wsi, budowy dróg, kościołów i szkół, i wogóle rozwoju kulturalnego epoki Jagiellonów i Wazów.

Książkę zdobi wiele widoków. Pewne znaczenie będą mieć dla polskiego czytelnika widoki Kowna. Widok ruiny zamku, w którym często przebywał król Kazimierz Jagiellończyk, a król Zygmunt August przyjmował Jana, księcia fińladzkiego, brata króla szwedzkiego, Eryka. Zaś z późniejszych, porozbiorowych czasów, widoki „Doliny Mickiewicza” i domu w którym w Kownie mieszkał nasz poeta.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Najciekawszym zapewne zjawiskiem w ostatnim roku angielskiej produkcji literackiej był nowy zbiór nowel Rudyarda Kiplinga a zatytułowany „Debts and Credits” (Rozchody i Przychody), zarówno humorem tytułu jak charakterem opowiadań spokrewniony z takimi poprzednikami jak „Traffics and Discoveries” (1904), „Actions and Reactions” (1909), „Diversity of Creatures” (1917).

Serja ta zawiera najcenniejsze może utwory w dorobku nowelistycznym wielkiego pisarza, choć w pamięci ogółu zostają te przedewszystkiem, które rozslawili krytycy dawniej, w dobie popularności hasła imperjalistycznych. Od wojny burskiej twórczość Kiplinga pogłębiała się, lecz sława jego malała. Poeta został ten sam, Anglja zmieniła się z imperjalistycznej na coraz bardziej liberalną i pacyfistyczną, to też od dobrych lat dwudziestu zapanowała wśród krytyków moda bagatelizowania i obniżania wartości sztuki Kiplinga, obrońcy ideałów tradycyjnych. Z okazji wydania ostatniego tomu znów zarzucono autorowi, że skostniał w starym sposobie myślenia, że niewolniczo imituje samego siebie, że sztuce jego brak świeżości, że płytki i t.p. Lecz Kipling poprostu został na placu z własną poezją, gdy natomiast inni dla mody, ulegli wpływom autorów rosyjskich, lub zapisali się do cechu freudystów, albo futurystów. Co zaś do zarzutu płytkości, zauważyć wystarczy, że ci, którzy nim godzą w Kiplinga, częstokroć podziwiają ją głębiej... Bernarda Shawa.

Wita nas w zbiorze ostatnim poezja znajoma, przecież niemniejsza przez to. Znowu wyraża duszę narodową autora, znowu objawia jego miłość rzeczywistości widzialnej i dotykanej, zespoloną ze zmysłem mistycznym (typowa pod tym względem nowela o „Madonnie Okopów”). Wyłącznie na tym świecie rozgrywa się akcja opowiadania „U wrót niebieskich”, z którego dowiadujemy się, że i tam rządzą zasady hierarchji, organizacji i dyscypliny — opowiadanie zresztą pełne znakomitego humoru. Szczególnie ciekawe są cztery niedyskretne nowele masonskie — wśród braci z niemałym zdziwieniem spotyka czytelnik polski militarystę Kiplinga. Łoże goszczą urlopowanych żołnierzy z frontu, co więcej okazuje się, że przysięgą masonską związani są także oficerowie frontowi, w okopach krzepiący się ceremonjałem i klubowym duchem masonerji! Nieszczęśliwi, co do bractwa nie należą, czują się jak odludki. Wogóle w łoży nie szkodzą sobie jakoś nastroj antygermański oraz ideologia powszechnego bra-

terstwa. Sprzeczność ta nie jest rekomendacją masonerii angielskiej, mimo wszystkich różnic, które tę ostatnią dzielą od kontynentalnej krewniaczki.

Wiersze w różnych czasach napisane ku pochwalę morza i tego ulubionego zakątka Anglii, gdzie osiadł na stałe — zebrał Kipling w zbiorze p. t. „*Sea and Sussex*“ i dopisał wiersz wstępny: bożki górystego wybrzeża Anglii uchodzą z ojczystego ustronia przed inwazją barbarzyńskich przybyszów, szpecących wzgórze willami, zaśmiecających trawę i niszczących drzewa w czasie wycieczek i pikników.

Najdroższe bóstwo Wellsa (i wielu innych myślicieli i publicystów pewnej szkoły): Ewolucję, zaatakował świeżo znakomity pisarz i historyk Hilary Belloc w szeregu artykułów, drukowanej w angielskiej prasie katolickiej. Poszło mianowicie o wellsowski „Zarys historii świata“, gdzie autor zaczynając od okresu azoicznego, poprzez pterodaktyle i mamuty dotarł na stronie setnej któreś do Egei i Egiptu, a potem na dalszych czterystu poprzez Grecję i Rzym, wieki średnie i czasy nowożytne doszedł aż do dni dzisiejszych, kończąc apoteozą dzisiejszych dążeń pacyfistycznych i wizją przyszłego państwa światowego. Zniekształcił także dzieło Wellsa liczne błędy historyczne lecz talent pisarza sprawił, że w świecie anglosaskim zdobyło ono sobie olbrzymie powodzenie. Rzeczywiście warte jest ono czytania, jako ponętne pod względem literackim wyłożenie tez materialistyczno-masońsko-lewicowych. Powodzenie dzieła skłoniło Belloca do ostrej krytyki fantazyjnej historii Wellsa. Wells, któremu atak na ewolucję wydał się absurdalny, odpowiedział broszurą „*Mr. Belloc Objects*“ (P. Belloc krytykuje), wręcz pomawiając Belloca o pisanie bredni. Belloc natarł pamfletem w „*Mr. Belloc Still Objects*“ (P. Belloc nadal krytykuje) i zapowiedział wydanie łączne artykułów i pamfletu. Będzie to niewątpliwie lektura nader ciekawa.

Jednocześnie prawie otrzymał Wells replikę z drugiej strony: w końcu ubiegłego roku jego przyjaciel osobisty G. K. Chesterton, którego cała twórczość jest antytezą ideową twórczości Wellsa, w odpowiedzi na „Zarys historii świata“ dał „Zarys zdrowego myślenia“ („*Outline of Sanity*“).

Zgoła średniowieczną wiarę w czary i gusła okazał autor najświeższej „Historji Czarnoksięstwa i Demonologii“, *Montague Summers (The History of Witchcraft and Demonology*, wyd. Kegan Paul).

Pojawiły się w druku pamiętniki Sir Rider Haggarda p. t. „*The days of my life*“. Kilka lat temu toczyła się na łamach pism francuskich zacięta polemika o plagiat z powieści „*She*“ Haggarda — plagiat ten miał popełnić popularny autor „*Atlantidy*“ Pierre Benoit. Sprawy jednak nie wyjaśniono w sposób przekonujący. „*The days of my life*“ wychodzą w rok zgorą po śmierci Haggarda (um. w r. 1925). Twórca „*King Solomon's mines*“ urodził się w r. 1856; ponieważ rodzina była liczna, musiał wcześniej zarabiać na siebie. Mając lat 19 rusza do Afryki połudn. przydzielony do biura nowego gubernatora Sir Henry Bulwera. W Afryce przepędza Haggard sześć lat swego życia i jest świadkiem ważnych wydarzeń w ówczesnej polityce kolonialnej angielskiej (sprawa aneksji Traanswaalu, walka z Zulusami). Haggard niezwykle ostro krytykuje politykę angielską w Afryce na schyłku 19 w.; nazywa ją tchórzliwą i pozbawioną godności. W r. 1881 wraca Haggard do Anglii i pisze swą pierwszą powieść „*King Solomon's mines*“. Równocześnie stara się o mandat posełki — pod wpływem ataków przeciwników, którzy wypominali mu autorstwo fantastycznej powieści, rezygnuje z miejsca w parlamencie i poświęca się zagadnieniom społecznym i gospodarczym. Pisze dwie gruntowne książki o potrzebach i położeniu rolnictwa ang. („*A farmer's year*“; „*Rural England*“) w następstwie czego zostaje wysłany przez komitet badań socjalnych do Ameryki i Kanady dla zbadania postępów i warunków pracy w koloniach roboczych „Armji Zbawienia“. Haggard wyznaje otwarcie, że do literatury rzuciła go potrzeba zarobku. Mówi, że „w głębi serca żywił nieco angielskiej pogardy dla rzemiosła literackiego“.

Henry Green, który świeżo wydał powieść p. t. „*Blindnes*“ jest — jak się zdaje — nowicjuszem w literaturze. Green daje w swym utworze dobrze ujęte i solidnie przemyślane studjum o ślepotie, której męczarnie przedstawił z wyrazistą (męczącą nawet chwilami) dramatycznością i ekspresją d'Annunzio w swym „*Notturmo*“. Powieść Green'a odmalowuje tragedję młodego studenta Johna Haye, który traci wzrok w kwiecie swej młodości. John posiada naturę poetycką, pełną świeżości i naiwności — ślepotą odsuwa go od otoczenia, pozwała włączyć się w siebie. Przeciwwstawieniem Johna jest Joanna, córka zapitego proboszcza, wychowana w atmosferze przeciętności i życiowej

plaskości. Zetknięcie tych dwu światów jest pokazane i oddane dobrze, inteligentnie. Krytyka angielska podkreśla wpływ powieści rosyjskiej na rzecz H. Green'a. Styl „*Blindnes*“ opanowany i artystyczny, trafny w skrótach i przenośniach.

Z ciekawszych powieści najnowszej produkcji angielskiej wymienić należy powieść p. t. „*Hilda Were*“ pióra Mrs. Allen Harker. W utworze tym traktuje autorka stary problem walki dwu kobiet o serce mężczyzny. Geoffrey Ware, sławny nowelista ulega czarowi swej osobistej sekretarki, Racheli Strond. Rachel wychowana w domu w duchu nader rygorystycznym zdobywa niezależność przez zaangażowanie się na sekretarkę do Geoffrey'a. Literatowi, który jest osobnikiem próżnym, pochlebia uwielbienie młodej dziewczyny, gdyż żona jego Hilda, odnosiła się zawsze do niego i jego dzieł dość krytycznie. Hilda widząc, że traci Geoffrey'a szuka pomocy w synu, ale ten nie widzi nic zdrożnego w tem, że ojciec ma kochankę. Złamana postępowaniem męża i sądem syna, Hilda umiera, tocząc do ostatka walkę z intruzką — Rachelą. Powieść napisana umiejętnie, żywo.

NOWE KSIĄŻKI

K. Brodziński. Mowy i pisma patriotyczne. Opracował Ignacy Chrzanowski. Bibl. Narod. № 94. Kraków (1926). Krak. Spółka wyd.

Almanach Polonais. Paris (1926). Gebethner i Wolff. Str. 850, tabl. i mapa.

Gazeta Warszawska. Kalendarz na 1927 r. Warsz. (Zgoda 5) z ilustr.

Miłosz Gembarzewski. Biały pióropusz. Poezje. Warsz. 1927. Księg. Narodowa (Bracka 1). Cena 2 zł.

Józef Stemler. Polska Macierz Szkolna. Szkic histor. 1905—1925. Wyd. jubil. Warsz. 1026. Str. 224 z ilustr.

Włodz. Perzyński. Nie było nas, był las. Powieść. Gebethner i Wolff.

Bron. Grąbczewski. Na służbie rosyjskiej. Fragmenty wspomnień. Str. 273. Tamże.

T. Brudzewski. Dzwon na trwogę. Powieść. Tamże. Stanisław Haller gen. Narod a armja. Kraków 1926. Nakładem Księg. Krakowskiej, str. 80.

Ferdyn. Hoesick. Chopin, Życie i twórczość. 2 tomy, Wyd. II. Warsz. 1927. Nakładem księg. F. Hoesicka, str. 637 i 888.

Giuseppe Prezzolini. Faszyzm. Z przedmową autora. Warsz. 1926. Tamże, str. 168.

Al. Wat. Bezrobotny Lucyfer (Nowele), Warsz. 1927, Tamże.

Tadeusz Kończyc. Śladem ostatnich snów (Poezje). Warsz. 1926, F. Hoesick.

Juljan Tuwim. Słowa we krwi. (Poezje), Warsz. 1926, Tamże.

Zofja Łuniewska-Fonberg. Serce błękitnej pagody. (Poezje), Warsz. 1925, Tamże.

Stefan Zweig. Jeremjasz. Poemat dramatyczny. Przekład Melanji Wassermanówny, Warsz. 1926. Tamże.

Wacław Świątkowski. W dorzeczu Narwi. Łomżyńskie i sąsiednie powiaty. Druga wycieczka po kraju. Warsz. 1927. Nakładem autora, str. 642, ilustr. i mapa.

M. B. Lepecki. Na cmentarzyskach Indjan. Bibl. dzieł wyborowych.

Beocjusz. O pociechach filozofji ksiąg pięcioro oraz traktaty teologiczne. Poznań 1927. Fiszer i Majewski. Str. 256.

Henryk Drzewiecki. Zarys dziejów notariatu w Polsce. Warszawa 1917. Gebethner i Wolff. Str. 87.

Władysław Grabski. O własnych siłach. Zbiór artykułów na czasie. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff. Str. 119.

Roman Sanguszko, zesłaniec na Sybir 1831, w świetle pamiętnika matki oraz korespondencji. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff. Str. 211. Z portretem.

Józef Jankowski. Miłość artysty. Szopen i pani Sand. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff. Str. 148.

M. H. Szpyrkówna. Godzina bije! Lwów 1927. Zakład nar. im. Ossolińskich. Str. 191.

Włodzimierz Perzyński. Uśmiech losu. Komedja. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff.

Zofja R. Nałkowska. Choucas. Powieść międzynarodowa. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff.

M. B. Lepecki. Na cmentarzyskach Indjan. Biblioteka Dzieł wyborowych.

Juljan Ejsmond. Nosił wilk razy kilka. Biblioteka Dzieł wyborowych.

NA MARGINESIE

Użyty do sanowania moralnego Europy p. Al. Lednicki, udekorowany już za odrodzenie Polski, zabrał się rażno do budowania Paneuropy wespół z p. Condernhave-Calergi. Aliści ten skompromitował całą robotę wyznaniem zamiarów swoich co do Pomorza polskiego. P. Lednicki który nie ma szczęścia, jako makler, do interesów (dość przypomnieć Tereszczkę, Kiereńskiego, Lerchenfelda), zagaduje fatalną pozycję w liście otwartym do p. Calergi: „Byliśmy z a w s z e tego zdania — pisze, — że Polska bez dostępu do morza nie będzie mogła normalnie się rozwijać i t. d.“. Nie przeszkadzało to p. Lednickiemu w r. 1917 stręczyć pokój z Niemcami z pozostawieniem Poznania i Pomorza Niemcom; niech też nie robi minek, że mu to choć trochę będzie przeszkadzało robić Paneuropę.

P. Stpicyński pisze w „Głosie Prawdy“ (d. 19 stycznia): „Jest jaśniejszy... zwiększył się nasz wywóz i przywóz. Wzrasta zatem stan naszego posiadania“.

A tymczasem poprzedniego dnia właśnie ogłosiły gazety, że w ostatnim miesiącu wywóz zmniejszył się o 13 milionów zł. w złocie, zaś przywóz także zmniejszył się o zgorą 17 milionów złotych w złocie. Pocóż „Głos Prawdy“ ukrywa prawdę?

Lódzka „Prawda“, pisząc o powstaniu Obozu Wielkiej Polski, porównywa program i działalność Dmowskiego i Piłsudskiego, poczem taką oto wyprowadza konkluzję:

„Dmowski, zamiast (jak to czyni Piłsudski) budzić do życia odzyskane Państwo i dbać tylko o to, by jaknajprędzej nabrało sił, zajął się modelowaniem jednego szczegółu w obrazie. Zajął się mobilizacją n a r o d u“.

Drobny szczegół!

Kiedy zacząć dyskusję o roli, jaką w Polsce dzisiejszej odgrywa masoneria, a w masonerii żydostwo, zawsze zaraz znajdzie się ktoś, komu na tem zależy, aby sprawę z dziedziny zagadnień aktualnych przesunąć do zakresu historycznych rozważań. „Masoneria w Polsce nie ma złych tradycji“ — pisze w „Epoce“ (nr. 15) p. Widz-Wassercug. I jak z rękawa, na oczekaniu sypie długą litanję nazwisk: Henryk Dąbrowski, książę Józef Poniatowski, Kniaziewicz, Ignacy i Stanisław Potoccy, Niemcewicz, Brodziński... Sam Tadeusz Kościuszko — dodaje figlarnie pan Wassercug — był „przyjacielem masonów“.

Półurzędowy feljetonista „Epoki“ naprawdę nieźrównany jest „w swoim repertuarze“: „Szanowna publiczność miśli, co ja mam na sobie zwyczajny chałat? To wcale nie jest chałat, to jest krakowska sukmana! Szanowna publiczność miśli, co przed nią stoi sobie taki Wassercug z „Epoki“? Ja wcale nie jestem Wassercug, ja jestem drugi jaśnie naczelnik Kościuszko“!

Z powodu ankiety organu sanacyjnego „Głosu Prawdy“ na temat, jakiby ustrój dać Polsce, drugi organ sanacyjny „Epoka“, dotąd bardzo demokratyczny, zwolennik ludowładztwa, pisze (piórem J. Wassercuga): „Broń, Panie Boże, Polskę od ustroju, któryby najbardziej odpowiadał psychice obywatela“. A potem tenże urzędowy myśliciel tłumaczy, dlaczego nie spodziewa się niczego po monarchji: „Myślę, że w monarchji głupi nie zmadrzeje. A ta prawda wystarczy, aby do monarchji nie tęsknić“. Zdaje się, że publicystom obu tych pism żaden ustrój polityczny nie pomoże.

W „Kur. Warsz.“ (№ 20) zasługuje na uwagę feljeton A. Grzymały-Siedleckiego „Wizyta u dr. Siewskiego“ (bohater komedji Perzyńskiego „Uśmiech losu“). Rozprawia się tam G. ze swoimi adwersarzami z obozu żydowskiego, którzy od pewnego czasu toczą przeciw niemu kampanję, robiąc na komendę obławę lub atakując huraganowym ogniem paszkwili. Dla obserwatorów z boku jest rzeczą widoczną, że atakujący nie mają bynajmniej na widoku jakiegokolwiek zagadnienia literackiego, lecz że jest to wygryzanie niedogodnego pisarza ze stanowiska w „Kurjerze Warsz.“ Jesteśmy świadkami zdobywania kolejnej reduty w szanłach literatury polskiej. Mafja, rozzuchwalona podbojem ważnych placówek literackich, przypuszcza teraz szturm do poczytnego dziennika, aby wysadzić w powietrze najwybitniejszego polskiego krytyka.

Operacje takie liczyć mogą na powodzenie, gdy im idzie w sukurs słaby charakter komendanta reduty. W tym wypadku jest ona w zbyt pewnych rękach, aby mogła zachodzić obawa kapitulacji przed jerychońskimi instrumentami.

Pan Pomirowski (Pomper) w „Tygodniku Ilustrowanym“ pisze o poezjach Wierzyńskiego: „Ta jest olbrzymia różnica między Wierzyńskim a hołdownikami pracy mięśniowej i przyszło-

ściowego władztwa proletariatu, że ci ostatni tylko głoszą i propagują, ugniatając poezję niby plac pod trybuny, a W. z wierszy swoich wytacza bezpośredni sok życiowości“. „Całą sztuką tej sztuki poetyckiej jest więc dźwignia techniczna duszy, organizujący aparat pracy w płynnym mechanizmie marzenia“. Gdybyśmy mieli na ankiety duże fundusze sanacyjne, tobyśmy ogłosili nagrodę 750 zł. dla mędrca, któryby wycisnął z tej krytyki choć trochę „soku życiowości“ i sensu.

P. Józef Wittlin bardzo surowo [krytykuje w „Wiadomościach Literackich“ (nr. 4) nową książkę głośnego pisarza francuskiego, Delteil'a p. t. „Les Poilus“. Związczą zgrozą przejmują go słowa Delteila, że jeszcze za lat tysiąc dziadkowie wnukom opowiadać będą bohaterską epopeę zwycięstwa nad Marną. „Jeśli do tego czasu — pisze p. Wittlin — w umysłach i sercach ludzkich nie zajdzie przewrót, jeśli do r. 3000 nie zdemobilizują się sumienia, to niech lepiej wszyscy djabli wezmą i Paryż i Francję i całą Europę“.

(Azja z Palestyną włącznie — zostanie).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Kaz. P. w K. Odpowiadamy w tem miejscu, aby innym również osobom, które tak myślą, rzecz wyjaśnić. Nie jest dobrze, kiedy czytelnik nie ma innego kryterjum dla rzeczy czytanych, jak tylko miarę, czy one są długie czy krótkie. Trzeba baczyć na treść. Wtedy artykuł jest długi, kiedy jest pusty. Wszystko zależy od stosunku ilości do treści. Jeśli treść jest pouczająca, a szczególnie jeśli jest ważna jako rozumowanie, bez którego czytelnik ani tej rzeczy, ani innych podobnych nie zrozumie, to trud czytania i myślenia nie będzie stracony.

Nic prostszego, jak usunięcie z rozprawy filozoficznej za pomocą ołówka wszystkich przesłanek i ogłoszenie wyników w dziesięciu wierszach. Jeżeli to komu dogadza, to wie Pan dlaczego? Dlatego, że ma umysł wyniszczony przez dzienniki brukowe. I w nich nie czyta on nawet telegramu, tylko treść wypisaną dużemi literami. Spieszy mu się? Do czego? Nieprawda, nie spieszy się, tylko jest roztrzęsiony. Tramwaj, w którym odbywa lekturę, się trzęsie, a on lekki jak wiórek. Dla czego nie krzyczy w kino, że film jest za długi? Bo się bawi, a czytanie rzeczy poważnych jest pracą. Umysły są rozpróżniane, próżne są zainteresowań, a wydaje im się, że im spieszą.

Gdy człowiek inteligentny powie: „Owszem artykuł jest bardzo dobry, ale jest za długi, a ja przecie nie mogę pamiętać, co było w jego pierwszej części przed dwoma tygodniami“, to tym argumentem niszczy resztki poważnej literatury, jaka jeszcze została. W ten sposób umysły roztrzęsione i rozpróżniane wymordowały już w Polsce typ miesięcznika i wogóle książkę poważną. Pozostał dla inteligencji, ale trzyma się tylko ofiarnością jednostki „Przegląd Współczesny“.

„Przegląd“ stoi na wysokości zadania. Ale cóż on poradzi, że niektóre tematy ze względu na konieczność udowodnień muszą być dłuższe i dzielić je trzeba na parę zeszytów. W styczniowym np. zeszycie mamy tam zaczęte trzy prace i dokończone będą za miesiąc. Więc za długie? Niechże Pan poradzi redaktorowi, jak on to ma zrobić, żeby prof. Rozwadowski swoje wyznania filozoficzne dał Panu w dziesięciu wierszach z dużym tytułem. Raczej prosić należy, aby człowiek, który ma tyle do powiedzenia, pisał jaknajdłużej.

Inteligencja tego krótkiego typu ma za wielkie dla siebie wymagania: chciałaby i wysokiej rangi mędrca i wszystkich rozkoszy rozrywki kabaretowej. Trzeba się zdecydować na typ: czy się ma być istotnie człowiekiem myślącym u steru cywilizacji, czy też kelnerem, który ma wychodne i czyta krótkie rzeczy w tramwaju. Teraz poecie nie wolno napisać nowelki porządnej, o ile się nie mieści w jednym numerze dziennika. Dziennik już niczego nie uzasadnia, tylko „sygnalizuje“, a kelner przyjmuje do wiadomości odkładającej. Pełno jest w powietrzu sygnałów, ale też nikt nic nie rozumie.

Nie ma rady, trzeba się przezwycięzać i uczyć się, trzeba czytać i dłuższe artykuły; a czas się znajdzie i pamięć rzeczy czytanych przed tygodniem, tylko trzeba sobie oszczędzić trochę radia, kina, tanga, bridża. Inteligent polski powinien być skromny, wyleczyć się z przywidzeń, że jest wielkim człowiekiem, nie mającym czasu na rzeczy poważne.

ERRATA

W pierwszej części artykułu „Bezdroża samotnego człowieka“ (№ 2) na str. 24 szpalta 1-sza, wiersz 23 od dołu, należy czytać: o s w i e c o n e g o absolutyzmu, nie zaś: o d w i e c n e g o, jak przez omyłkę złożono.

Towarzystwo Akcyjne
C U K R O W N I

„C I E L C E“

Pocztą i telegraf WARTA, ziemi Kaliskiej.
Stacja kol. Ciechanów.

BIURO ZARZĄDU:

Warszawa, Boduena 1.
Telefon 61.

Towarzystwo Akcyjne
C U K R O W N I

„K R A S I N I E C“

Pocztą i telegraf KRASINIEC, ziemi Płockiej.
Stacja kol. Ciechanów.

BIURO ZARZĄDU:

Warszawa, Boduena 1.
Telefon 61.

Spółka Akcyjna
C U K R O W N I

„C I E C H A N Ó W“

Kolej, pocztą i telegraf CIECHANÓW, ziemi Płockiej.

BIURO ZARZĄDU:

Warszawa, Boduena 1.
Telefon 18-16.

Spółka Akcyjna
C U K R O W N I

„D O B R E“

Pocztą Dobre k/Nieszawy. Stacja kolei Dobre
kolei Kujawskiej, dojazd przez Nieszawę.

BIURO ZARZĄDU:

Warszawa, Boduena 1.
Telefon 18-16.

DO NABYCIA

W administracji

„Myśli Narodowej“

Warszawa, Jerozolimska 17.

DMOWSKI ROMAN. Polityka polska i odbudowa państwa	zł. 10.—
dla prenumeratorów „Myśli Na- rodowej“	„ 5.—
TENŻE. Anglja powojenna i jej polityka	„ 1.80
TENŻE. Kwestja robotnicza wczoraj i dziś	„ 0.50
MUSSOLINI. Mowy. W przekładzie Wł. Jabłonowskiego	„ 2.50
SKIWSKI J. E. Kilka słów o Żeromskim i Żeromszczyźnie	„ 1.—
WASILEWSKI Z. O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej	„ 1.20
TENŻE. Proces Lednickiego	„ 5.—
TENŻE. Z życia poety romantycznego	„ 1.20

„Trybuna Narodu“

ZACZEŁA ZNOWU UKAZYWAĆ SIĘ W KRAKOWIE
POD REDAKCJĄ

KAROLA HUBERTA ROSTWOROWSKIEGO.

Wydawnictwo i redakcja znajdują się w rękach
ludzi, należących do Obozu Wielkiej Polski

W numerze noworocznym zamieścili swe artykuły:

gen. STANISŁAW HALLER,
prof. dr. WŁADYSŁAW FOLKIEFSKI,
prof. dr. IGNACY CHRZANOWSKI,
red. JAN MATYASIK,
K. L. KONIŃSKI i inni.

Dla poinformowania naszych czytelników, chcących
zaprenumerować ten ciekawy tygodnik, podajemy
adres jego administracji:

KRAKÓW, RYNEK GŁÓWNY 6.

PRENUMERATA WYNOŚI KWARTALNIE ZŁ. 4.

TREŚĆ: Ideologia a ideał *J. Zamorskiego*. — Rewizja rewizji *W. Sobieskiego*. — Bezdroża samotnego człowieka *St. Cywińskiego*. — Żeromski-nauczyciel *J. E. Skińskiego*. — Z poezji emigracji rosyjskiej (Mereżkowski, Smirnow, ks. Kasatkin-Rostkowski) przekład *S. M. S.* — Głosy: Aleksander Świętochowski *Z. W.*; O wolności słowa (*r.*); Europejskość a rodzimość *L. Konopackiego*; Patria-czy partja.—Przegląd polityczny *J. R.*—Nauka i literatura (Powstanie listopadowe *A. Ś.*, Georges Oudard *I. Briares* i in.)— Na marginesie. — Odpowiedzi redakcji.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P.K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM